Nr. 2

PRACA

Rok III.

Rolnictwo — Przemysł — Handel.

Stały bezpłatny dodatek.

Właściciel i Wydawca: Marcin Bidermann.

Redakcya i Administracya w Poznaniu ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 295.

KONKURS.

Redakcya *„Pracy“* będzie odtąd stawiać od czasu do czasu pytania, odnoszące się do zorganizowania gospodarstwa domowego, przedsiębiorstwa przemysłowego i t. d., i wzywa niniejszem Szanownych Czytelników do opracowywania ogłoszonych tematów i nadsyłania prac w oznaczonym czasie.

Dla trzech prac, uznanych przez redakcyą za najlepsze, wyznaczamy nagrody. Prace konkursowe należy zaopatrzyć w godło, w zamkniętej kopercie zaś, zaopatrzonej tem samem godłem, winno się znajdować imię, nazwisko i mieszkanie autora. Prace, nagrodzone premią, stawają się własnością redakcyi.

W tym celu zapraszamy wszystkich Czytelników do współzawodnictwa w rozwiązaniu następującego pytania: **„W jaki sposób prowadzić ścisłą i prędką kontrolę nad wydatkami na portorium pocztowe?“** Za najlepsze prace wyznaczamy trzy nagrody w wysokości

15, 10 i 5 marek.

Każda z następnych trzech prac nagrodzona będzie książką.

Prace konkursowe nadesłać należy do 15-go Lutego r. b. na ręce naszej redakcyi.

Redakcya „Pracy“.

Brak robotników w rolnictwie.

Antipolska polityka pruska, zabraniająca robotnikom polskim z Królestwa osiedlać się u nas na stałe, doprowadziła wreszcie do tego, że dominia w dzielnicach polskich — zarówno w polskiem jak i niemieckiem ręku — zaczynają się na dobre wyludniać, że dla braku rąk do pracy marnieją płody na polach i rolnicy ponoszą niezmierne straty. Zewsząd też odzywają się głosy, protestujące przeciwko takiemu systemowi zamykania granicy i wołające o pomoc, o ratunek. Nie poraz pierwszy to odczuwają nasi współziemianie niemieccy szkodliwość środków antypolskich wraz z nami — więc i w tym wypadku nawet najwięksi między nimi polakożercy głośno wołają: „precz z wydalaniem — dajcie nam robotnika polskiego!“ — ale rząd pruski, słynący z systematyczności i konsekwencyi w postępowaniu na raz obranej drodze, ignoruje te głosy a snać tak się obawia Polaków, że woli, iż dziesiątki niemieckich ziemian popadną w ruinę, niżby jeden Polak zakordonowy osiedlić się miał w zaborze pruskim.

Bądź jak bądź — to przeświadczenie, że Niemcy w tym wypadku cierpią porówno z nami — nie na wiele się przyda. Oni tę niedolę rolnictwa zawsze jeszcze łatwiej pokonają, niż nasi rolnicy — bo łatwo im uzyskać pomoc ze źródeł, które dla Polaków najzupełniej są zamknięte. Polacy skazani są, jak zawsze, jedynie na własne siły — słusznie więc robią, że się kwestyą braku robotnika tak szczegółowo zajmują i że szukają dróg wyjścia z dzisiejszego już prawie niemożliwego położenia.

Nad kwestyą tą obradowały w ostatnim czasie wszystkie niemal nasze Towarzystwa rolnicze na kresach nadgranicznych — między innemi także wielkie i bogate w siły inteligentne i praktyczne Towarzystwo kujawskie.

Obrady nad tą sprawą zajęły na ostatniem zebraniu w tem Towarzystwie blisko dwie godziny czasu, a były niezmiernie pouczające i wyczerpujące, co ważniejsze zaś, nacechowane były zacną, prawdziwie o b y w a t e l s k ą tendencyą. Kładę na to nacisk szczególny. Bo gdy się czyta rozprawy takie w niemieckich kołach, to odnosi się wrażenie, jakoby agraryusze niemieccy zapatrywali się na lud polski, na polskiego robotnika poniekąd jak na bydełko robocze; obchodzi ich tylko interes własny — interes robotnika jest zaś dla nich sprawą podrzędną, nad którą się wcale zastanawiać nie warto. Na zebraniu polskich ziemian kujawskich inne odzywały się zdania. Tu obradującym chodziło nietylko o własne interesy, ale i o to, ażeby robotnikom, gdyby ich dostać można, jak najlepszy też byt zapewnić.

Skonstatowano też jednogłośnie, że np. robotnik z Królestwa daleko chętniej wynajmuje się na polskie dominia, zwłaszcza tam, gdzie dziedzic sam zajmuje się wypłatą i bezpośrednio się z nim styka, — niż do niemieckich panów, którzy nie władając językiem polskim — nie znając zwyczajów i obyczajów polskiego robotnika, spuszczają się ze wszystkiem na swych rządzców lub na pośredników, a z tych pierwsi traktują często robotnika — no ot tak, jak Niemcy zwykli traktować Słowian wogóle już od 10 wieków, — drudzy zaś biednych robotników wprost w najniesumienniejszy sposób wyzyskują. Rzadko który dziedzic niemiecki troszczy się o robotnika polskiego z Królestwa po za godzinami pracy, a niedawny proces o złe traktowanie tychże przychodźców w dobrach barona Willamowitza — odkrył szczegóły, które dowodzą, że nawet w majątku tak światłego i sprawiedliwego pana, jakim jest baron Willamowitz bezsprzecznie, daje się robotnikom mieszkania niegodne człowieka.

Przyznawano dalej, że właśnie niewłaściwemu obchodzeniu się z robotnikami — a z drugiej strony prawdziwej o nich licytacyi zawdzięczać to należy, iż robotnik stał się niesłownym, że zrywa kontrakty i ucieka wśród pracy tam, gdzie, jakbądź, lepiej mu będzie. Zalecano więc jak największą pieczę nad dobrem robotnika a mianowicie także nad moralnem jego dobrem. Przemawiali za tem zwłaszcza zacni nasi kapłani, zwalczając np. wniosek — ażeby w celu zatrzymania robotnika w majątku na cały czas kontraktu, odciągano mu pewną kwotę — płatną dopiero po ukończeniu kontraktu. Z drugiej jednakże strony zauważono, że środek ten, byle uczciwie przeprowadzony, bynajmniej nie jest niemoralny, nawet wprost k o r z y s t n y dla robotnika. Wielu z nich, z natury lekkomyślnych, roztrwania przy tygodniowej płacy cały swój zarobek i gdy kontrakt się kończy nie ma nawet o czem wrócić do domu. Tak zaś otrzymują wówczas znaczniejszą kwotę, która na zimę wielce im się przyda. Zgodzono się wreszcie na to, że można zastosowywać ten środek — naturalnie za zgodą robotnika, ale nie należy postępować tak, jak to czynią urzędnicy na wielu majątkach niemieckich, że kwotę wstrzymywaną z zarobku, odciągają później zupełnie tytułem najrozmaitszych kar porządkowych. Zalecano dalej wogóle nie wdawać się z pośrednikami — lecz w peryodzie angażowania robotników wysyłać do miast nadgranicznych Królestwa uczciwych urzędników i włódarzy własnych, aby ci tam na miejscu angażowali robotników.

Mimo to wszystko zapatrywano się na przyszłość bardzo sceptycznie. Wiadomo bowiem, że teraz i rząd rosyjski, właśnie z powodu wyzyskiwania robotnika w dobrach niemieckich, zaczął utrudniać wędrówkę ich za kordon. Łatwo też stać się może, że napływ robotnika z tamtych stron zupełnie ustanie — a wtedy co poczną rolnicy?

Radzono zawczasu porozumieć się z G a l i c y ą — w celu sprowadzania ro-

botników z tamtąd — jeżeli naturalnie rząd pruski na to się zgodzi. Z góry też powzięto uchwałę, ażeby wraz z niemieckiemi Towarzystwami rolniczemi wnieść do rządu podanie o ułatwienie sprowadzania zagranicznego robotnika polskiego.

Niestety, podania te nie odniosą skutku. Jeżeli bowiem, jak świeżo się stało, rząd pruski dał odmowną odpowiedź na odnośne podanie rolnikom brandenburskim, to zapewne nie będzie względniejszym dla naszych, w znacznej liczbie polskich. Wolelibyśmy też, ażeby nasi ziemianie w tej sprawie nie łączyli się z Niemcami, lecz na własną rękę starali się — że użyję trywialnego wyrażenia „o własną skórę". Niechaj Niemcy piwo, jakie nawarzył im szał wydalaniami, sami wypiją, niech się niem uraczą, my im dopomagać nie mamy powodu, bo i oni względem nas do tego nie skorzy! Na spółkach z Niemcami zawsze jakoś licho wychodziliśmy. Wolałbym też, ażeby nasi Ziemianie jak najrychlej zabrali się do zrealizowania projektu, z jakim corocznie niemal występuje czcigodny ksiądz prałat Gaebel z Kruświcy, nietylko kapłan wzorowy, ale i zawołany gospodarz. Ks. prałat Gaebel woła bezustannie: Nie liczmy na robotnika zakordonowego, lecz starajmy się zatrzymywać u nas naszych robotników, tych, którzy od nas na Zachód wychodzą i w tym celu zakładajmy wspólnemi siłami kolonie robotnicze i dawajmy robotnikom zatrudnienie przez cały rok. Unikną przez to zepsucia, jakiemi grozi im wychodźtwo, a będziemy mieli nietylko robotników, ale i większy zastęp obywateli, a i o to chodzić nam musi.

Rząd udziela na zakładanie takich kolonii pożyczek po 2 i pół do 3 procent — wprawdzie w ograniczonych kwotach. Czy atoli nie dałoby się u nas stworzyć pewnego rodzaju spółkowej instytucyi kredytowej, którąby może tem się zajmować mogła? Kwestyą tę poddaję pod dyskusyą publiczną — a warta zastanowienia.

Kujawiak.

Zarys prawa handlowego.

Przez J. D.

IX.

Firma.

Pierwszą rzeczą, którą kupiec do regestru handlowego podać jest obowiązanym — to jego firma. Firmą nazywamy nazwisko kupca, pod którem stale w handlu występuje, handlowe interesa swoje załatwia i kontrakty zawiera. Kupiec ma interes w tem, aby jak najszersza publiczność przedsiębiorstwo jego znała, dlatego posługuje się stale stereotypowem imieniem. Nikt nie zna n. p. imion właścicieli słynnej fabryki F. W. Faber, ale dwa inicyały imion i nazwisko powyższe wbiło się w pamięć szerokim kołom.

Firmę tę, pod którą więc stale występuje, powinien kupiec zameldować do regestru handlowego. Forma zameldowania jest następująca: kupiec pisze przed sądem własnoręcznie firmę swą a obok nazwisko swoje zupełne. Firma i nazwisko mogą mieć zupełnie równe brzmienie, poczęści zawiera jednakże firma skrócone nazwisko. — Zamiast osobiście na sądzie dopiero się zapisać, może kupiec poza sądem firmę i nazwisko napisać, podpis swój urzędownie kazać stwierdzić i cały formularz na sądzie oddać (art. 19 § 29). — Do zameldowania firmy na sądzie może sąd kupca zmusić, t. j. skazać go w razie nieposłuszeństwa na karę pieniężną (art. 26).

W wyborze firmy kupiec ma do pewnego stopnia swobodę, ale tylko do pewnego stopnia, gdyż przedewszystkiem przepisuje prawo stanowczo: aby firma zgadzała się z prawdą. Nie wolno kupcowi przybierać obcego nazwiska: swoje własne nazwisko musi dać jako firmę przedsiębiorstwu, które zakłada (art. 16 § 18). Co do imienia służy mu pewien wybór; jednakże w tym punkcie różnią się teraźniejszy a przyszły kodeks handlowy.

Podług obecnego prawa może kupiec samo nazwisko bez imienia obrać sobie za firmę, może jednakże podać całe wypisane imię i nazwisko, albo nawet kilka imion — może dalej podać tylko pierwszą literę imienia, albo imię skrócone. Kupiec więc nazywający się Jan Marcin Pierwszy, może sobie obrać następujące firmy: Pierwszy, J. Pierwszy, J. M. Pierwszy, Jan M. Pierwszy, J. Marcin Pierwszy, Jan Marcin Pierwszy (art. 16).

Tymczasem nowy kodeks handlowy przepisuje, aby kupiec podał w firmie imię i nazwisko (§ 18). Poza tem wolno mu dopuszczać się wszelkich możliwych zmian i kombinacyi.

Reguła, aby firma odpowiadała prawdziwemu stanowi rzeczy, ma jeszcze dalsze konsekwencye. A mianowicie nie wolno kupcowi robić w firmie dodatków jakichś do nazwiska, któreby mogło zmylić opinię publiczną. — Jeżeli więc prowadzi przedsiębiorstwo na własną rękę, t. j. jeżeli z nikim nie zawarł otwartej lub innej spółki handlowej — wtedy nie wolno mu w firmie do nazwiska czynić dodatków, któreby na jakąkolwiek z wyżej wymienionych spółek naprowadzały (art. 16. 18). Inne dodatki wolno mu czynić. — Tak przynajmniej przepisuje obecne prawo handlowe. — Wprawdzie praktyka sądów pruskich skłania się ku temu, że tylko takie dodatki wolno mu w firmie umieszczać, które *bliżej określają* osobę lub przedsiębiorstwo. Podług obecnej praktyki sądowej byłoby więc wolno Janowi Marcinowi Pierwszemu dodać we firmie „fabryka cygar" albo „senior" nie byłoby mu jednakże wolno dodać: „Vulkan".

Nowy kodeks handlowy przepisuje tylko ogólnie, że nie wolno takich czynić dodatków, które oznaczają spółkę handlową, ani takich, któreby mogły w błąd wprowadzić co do wielkości i jakości przedsiębiorstwa, albo co do stosunków majątkowych kupca. — Dodatki *gwoli wyróżnienia* osoby kupca albo jego przedsiębiorstwa są dozwolone (§ 18). Rzeczą interpelacyi prawniczej będzie ze słów tych wyrozumieć, czy nowy kodeks handlowy obecną pruską praktykę znosi, czy nie. Z rozpraw parlamentu wnosić można, że znosi.

Firma „otwartej spółki handlowej", t. j. spółki, przy której kilku „wspólników" przedsiębiorstwo prowadzi, powinna zawierać nazwiska wszystkich wspólników, albo conajmniej nazwisko jednego z nich z dodatkiem, który spółkę takową oznacza (art. 17 § 19). — Nowy kodeks wymagał, aby firma pojedyńczego kupca zawierała conajmniej jego imię i nazwisko; tymczasem dla firmy spółki handlowej ustanowiony jest wyjątek: nie potrzebuje być w niej podanem ani jedno imię, samo nazwisko wystarczy.

Firma spółki komandytowej zawierać powinna conajmniej nazwisko jednego z odpowiedzialnych członków z dodatkiem, który spółkę oznacza. Mogą być naturalnie nazwiska wszystkich odpowiedzialnych członków podane (art. 17 § 19). Nazwiska innych osób, a więc członków spółki nie odpowiedzialnych osobiście, tylko do wysokości wkładki albo kupionej akcyi — nie powinny być zawarte w firmie.

Skutki niezachowania przepisu powyższego wyrazimy przy omawianiu spółki komandytowej. — Spółka komandytowa nie powinna się we firmie nazywać: towarzystwem akcyjnem, nawet wtedy nie, jeżeli kapitał spółki rozłożonym jest na akcye (art. 17 § 19). Nowy kodeks handlowy wymaga w takim razie wyrażonej we firmie nazwy: spółka komandytowo-akcyjna (Kommandit-Gesellschaft a. Aktien § 20) — które to bliższe określenie podług obecnego prawa jest niepotrzebnem.

Wszystkie wyżej wyliczone firmy zawierają nazwiska osób — zupełnie innego rodzaju jest firma spółki akcyjnej. Nie może ona obecnie zawierać nazwiska akcyonaryuszy, wogóle nazwiska osób (art. 18). Poczęści powinna firma towarzystwa akcyjnego wyrażać rodzaj przedsiębiorstwa (art. 18). Tak samo przepisuje nowe prawo handlowe, które jednakowoż skreśliło przepis, aby firma spółki akcyjnej nie zawierała nazwisk osób. — Jednakże musi podług nowego kodeksu handlowego firma spółki akcyjnej zawierać nazwę „spółka akcyjna" (§ 20).

Wszystkie wyliczone przepisy odnoszą się tylko do firmy przedsiębiorstwa świeżo założonego: przepisują innemi słowy, jaką firmę nowo założonemu przedsiębiorstwu dać można lub trzeba. — Prawo handlowe ustanawia osobne przepisy, jak się zachować trzeba w razie przejęcia egzystującego już przedsiębiorstwa. Obecne prawo handlowe przepisuje ogólnie (art. 22): „Kto przepisuje egzystujące już przedsiębiorstwo handlowe, bądź to w drodze kontraktowej, bądź też jako spadkobierca, — może je pod dotychczasową firmą dalej prowadzić, z dodatkiem wyrażającym następstwo lub bez niego, — jeżeli dotychczasowy właściciel lub spadkobiercy jego na dalsze prowadzenie dotychczasowej firmy zezwolą". — Tak więc Jan Marcin Pierwszy może nabyć przedsiębiorstwo Leona X. i prowadzić je dalej pod dotychczasową firmą. — Jan Marcin Pierwszy może nawet nabyć przedsiębiorstwo spółki akcyjnej, a podług powyższej reguły wolno mu dalej firmę spółki akcyjnej prowadzić. Przeciwnie może spółka akcyjna nabyć przedsiębiorstwo pojedyńczego kupca i pod dotychczasową firmą dalej je prowadzić. — Nowy kodeks handlowy, który wogóle zgadza się z obecnem prawem, w tym wypadku obstaje przy regule owej, że spółka akcyjna taką we firmie nazwaną być musi, również jak i spółka komandytowo-akcyj-

na (§ 22). Przejmując więc przedsiębiorstwo z firmą: „Jan M. Pierwszy“, spółka akcyjna nazwać się musi: „Jan M. Pierwszy“, spółka akcyjna“.

Firma bez przedsiębiorstwa sprzedaną być nie może (art. 23 § 23).

Podobne przepisy ustanowione są na wypadek, że ktoś do przedsiębiorstwa handlowego jako wspólnik wstępuje lub z niego występuje. I w tym razie dotychczasową firmę bez zmiany żadnej prowadzić można dalej. (Art. 24 § 24). Jednakże występujący wspólnik zezwolić musi na dalsze używanie nazwiska swego jako firmy (art. 24 § 24).

Firma kupca to nieraz jego majątek. Dlatego prawo, które interesów kupca broni, i firmę jego wzięło pod swoją obronę. Wyższej opieki prawa doznają firmy do regestru handlowego zapisane. Artykuł 20 i § 30 przepisują, że każda nowa powstająca firma od wszystkich w tej samej miejscowości już egzystujących, a do regestru handlowego zapisanych wyraźnie różnić się musi. A więc różnić się musi nietylko firma, którą później do regestru handlowego podają, od wszystkich firm przedtem tam zapisanych, ale wogóle każda nowa firma, choć niezapisana, od wszystkich zapisanych. Jeżeli kupiec nowo zakładający przedsiębiorstwo równe ma imię i nazwisko jak i kupiec, którego firma już do regestru zapisana, — wtedy nowo zakładający firmę tak musi ją ułożyć, aby się wyraźnie od firmy pierwszej różniła. Jan M. pierwszy zakłada n. p. przedsiębiorstwo, a w tej samej miejscowości jest już firma Jan M. Pierwszy, do regestru zapisany — wtedy później zakładający firmę Jan M. Pierwszy nazwać się musi J. M. Pierwszy lub J. Marcin Pierwszy.

Firmy niezapisane do regestru nie mają tak doniosłej opieki prawa. — Pomimo to nie są zupełnie bez obrony. — Niewolno i niezapisanej do regestru firmy bezprawnie używać t. j. nie może pod taką firmą występować człowiek, który do niej nie ma prawa, który ma np. inne imię i nazwisko. Używanie takie firmy jest bezprawiem, — a poszkowany w ten sposób może nietylko skarzyć o zaprzestanie używania firmy owej, ale może żądać i odszkodowania — (art. 27 § 37). Wysokość odszkodowania zależy od uznania sędziego. Sąd może nakazać opublikowanie wyroku kosztem skazanego.

Podług ustawy z dnia 12 maja 94 r. o „nazwach towaru“ (Schutz der Waarenbezeichnungen), — może poszkodowany żądać, aby ze wszystkich towarów, które firmą jego znaczono, firmę tę oddalono, choćby towary przez to uledz miały zniszczeniu, — jeżeli nadużywanie firmy jego wysoce lekkomyślne (grob-fahrlässig).

Nietylko powstanie firmy nowej podać trzeba do regestru handlowego, ale i zmianę jej, np. zmianę właściciela, — i zamknięcie jej.

Taksamo zapisanie jak i wykreślenie firmy podlega „prawu regestru handlowego“. W końcu i założenie filii przedsiębiorstwa podanem być musi do regestru handlowego.

Nowy kodeks handlowy zawiera nadto dwa nowe jeszcze przepisy: 1) co do zapisania firmy korporacyi, który to przepis ze względu na rozszerzoną możność zapisywania firm kupieckich i przedtem niekupieckich do regestru był koniecznym. Firmę korporacyi podać muszą wszyscy członkowie zarządu. 2) Dalej przepis, o ile nabywający firmę odpowiada za długi poprzednika. Dotąd panuje tu prawo zwyczajowe, że rozesłanie ofert nabywcy pod starą firmą uchodzi za przejęcie długów dawnego właściciela. — Nowy kodeks stoi wogóle na tem samem stanowisku, wymaga: aby nabywający firmę i przedsiębiorstwo, płacił zobowiązania poprzednika, jeżeli przeciwnej umowy nie wniesiono do regestru handlowego.

Droga do powodzenia.

Istnieją niektóre przedsiębiorstwa, które z iście zdumiewającą pewnością wiodą do powodzenia, a świat patrzący na to z zazdrością lub podziwem, mówi o niezwykłem szczęściu przedsiębiorcy. Są jednak ludzie, znający się na tem, i ci twierdzą, że mniej to polega na przypadkowem szczęściu, niż na dzielności i oględności. Kto się zabiera do jakiegokolwiekbądź przedsiębiorstwa. musi przedewszystkiem posiadać bystrość umysłu i łatwe pojęcie i zrozumienie stosunków i warunków, a nadto dokładną znajomość fachową, jaką każdy kupiec mieć powinien. Przy wielkich interesach, wymagających liczny personał i licznych współpracowników, polega większa część powodzenia na „organizacyi“.

Buchalterya i registratura np. bywają w niektórych interesach, jako niezbędne uważane, ale urzędnicy, którym to jest powierzone, stoją niżej, tak pod względem dochodów, jak i stanowiska, od agentów i podróżujących. Kto jednak wie, jak dotkliwe straty ponieść może firma z powodu niedbałości tychże urzędników, ten pozna, na jak ogromne uznanie oni zasługują. — Organizacya wewnętrznego obrotu jest niezmiernie ważną dla interesu na niej to bowiem ma się opierać cała zewnętrzna budowa, a jeżeli czynność urzędników zewnętrznych staje się mniejszą, to można to zawsze uważać za najlepszy wpływ organizacyi wewnętrznej. Najważniejszym obowiązkiem szefa jest: stósowny podział pracy, stworzenie organów wskazujących, wykonywających i dozorujących i utrzymanie tego wszystkiego w właściwej równowadze. Niektóre składy wywierają na wchodzących od razu przyjemne wrażenie, zwiększające się grzecznym, spokojnym i nie wymuszonym sposobem usłużenia gościom, w innych natomiast wie się zaraz, że panuje tam nieporządek, że każdy chce usłużyć, a nikt nie postępuje tak, jak należy. Znamy wielkie interesa, które dobrze się opłacają, a w których jednak wskutek braku dobrej organizacyi marnieją wysokie sumy. Urzędnicy i personał, których pensye w wielkiem do siebie stoją przeciwieństwie, są niechętni i niezadowoleni. Osoba dyrygująca całością powinna przedewszystkiem podzielić interes na takie części, na jakie już z natury samej się dzieli, i wskazać każdemu z pomocników wydział, do jakiego jest najodpowiedniejszym. Pewnych przepisów nie można tu pomimo najlepszej chęci robić — każdy bowiem interes innej wymaga organizacyi i każdy pomocnik do innego fachu najlepiej się nadaje. Ale każdy musi za swoją czynność być odpowiedzialnym, i każdy musi sumiennie wypełniać swoje obowiązki.

Czy można się organizacyi nauczyć? Dużo ludzi przeczy temu, mówiąc, że tak jak na podróżującego, na agenta i t d. potrzeba mieć osobny talent, tak i na organizatora trzeba go mieć także. Nie wątpimy o tem; sądzimy jednak, że istnieje dużo wiadomości, wskazówek i środków pomocniczych, które ludziom, nie mającym tego wrodzonego talentu, bardzo pomagają i służą im do poznania całej doniosłości wewnętrznej organizacyi. — W przyszłości obszerniej jeszcze o tem pomówimy. *K. M.*

Czy towary wystawione w oknie

muszą być publiczności sprzedane za napisaną na nich cenę?

Każdy z czytelników zna zapewne historyę kupna jednej połowy spodni. — Właściciel składu gotowych ubrań wyłożył w oknie wcale pokaźne pantalony, na jednej zaś nogawce znajdowała się karteczka z napisem: „Trzy marki“. Niejeden z przechodzących dał się złudzić tej początkującej ofercie i wchodził do składu. Ale wtedy kupiec tłumaczył mu, że wyłożone spodnie nie są tak trwałe i mocne, że lepiej kupić coś trwalszego, i rezultat był zawsze taki, że kupujący otrzymywał lichszy a znacznie droższy towar. Ale pewnego dnia przybył jakiś bardzo przebiegły jegomość i zażądał owych spodni, a chociaż kupiec starał go się przekonać o tem, że one nic nie warte, obstawał jednak uparcie na swojem żądaniu. Wtedy oświadczył kupiec, że one kosztują nie 3, ale 6 mk, że oznaczona cena odnosi się tylko do jednej nogawki, a ponieważ spodnie muszą mieć dwie nogawki, przeto kosztują 6 marek. Kupujący nie ustąpił i kupił połowę za trzy marki, ponieważ prawo wiąże sprzedającego do oferty.

Ale podług naszych praw Rzeszy nie jest to słusznem. Obecne prawo handlowe brzmi (art. 337): „Podawanie na sprzedaż większej liczbie osób (a zatem nieograniczonej liczbie) za pomocą list, cenników, prób i t. p. nie jest *zobowiązującem* podaniem na sprzedaż.“

Jest to raczej wezwanie publiczności do podania cen sprzedającemu, które tenże może albo przyjąć, albo nie. Więc jeżeli kupiec wywiesi suknie z oznaczeniem, albo bez oznaczenia ceny, to tem samem wzywa kupujących do podania mu ceny z ich strony, ale on sam nie jest do niczego zobowiązanym. Wyżej wspomniany kupiec nie potrzebował zatem bynajmniej sprzedawać połowy spodni; Tak samo dzieje się z restauratorami i szynkarzami. Żaden z nich nie jest zobowiązanym podać gościowi, którego u siebie mieć nie chce, ani jadła ani napoju. Gość musi, gdy mu gospodarz drzwi wskaże, lokal opuścić, inaczej staje się winnym zaburzenia pokoju domowego. Skoro jednak gość pije już, albo je, to w takim razie musi gospodarz zatrzymać go w lokalu tak długo, jak się gościowi

zostać podoba. W zawarciu bowiem interesu kupna i sprzedaży, pomiędzy gościem a gospodarzem a odnoszącym się do jadła i napoju, leży też pewien rodzaj wynajęcia lokalu, którego trwanie zależy od reguł panujących w lokalu. — Rzadko jednak zdarza się, aby gospodarz korzystał z przysługującego mu prawa wyproszenia gościa — przy dzisiejszej konkurencyi cieszy się każdy gospodarz, jeżeli goście do niego przychodzą.

W Bawaryi istnieje taki przepis policyjny, że gospodarz tylko dla ważnych przyczyn może odmówić gościowi wstępu i podania jadła i napoju przed t. zw. „godziną policyjną", w przeciwnym razie podlega karze pieniężnej. Ale ten przepis ma ten tylko skutek, że gospodarz karę zapłaci. Odrzucony gość, który może za wysoką cenę musiał szukać mieszkania prywatnego, nie ma do gospodarza żadnej pretensyi, nikogo bowiem nie można zmuszać do zawierania układów.

Co innego jest zaś, gdy ktoś zrobi ofertę bliżej oznaczonej osobie. Gdy takowa odpowie „tak", wtedy układ jest zawarty. Cofnąć się już nie można bez zezwolenia jednej z stron interesowanych. Ten jednak, kto z powodu takiej wolności sprzedających czuje się nieco zaniepokojonym w swem poczuciu prawa, może się uspokoić, bo od 1-go lipca 1896 rzecz ta zmieniła się nieco. Z tym dniem weszło w użycie prawo zwalczania nieuczciwej konkurencyi, a podług tego prawa mogą tak kupcy tej samej gałęzi, jak i Związki celem szerzenia kupieckich interesów skarżyć o odszkodowanie, jeżeli uczyniono fałszywe podanie o oznaczeniu cen. Kto umyślnie czyni fałszywe podania, albo takie, które innych w błąd wprowadzić mogą, ten podlega karze aż do 1500 marek, a w razie powtórzenia tego, karze więziennej aż do 6 miesięcy. Ale do oddania towaru nie jest kupiec bynajmniej zobowiązanym. Co zaś do nowego prawa, to nowe prawo kupieckie nie zawiera już przepisu art. 336. Powód jest następujący: Kodeks cywilny, który razem z nowem prawem kupieckiem wejdzie w użycie z dniem 1-go stycznia roku 1900, ujęło wiele norm specyalnemu prawu kupców, i podniosło je do ogólnych norm prawnych. Kupcy są właśnie bardzo ważnymi faktorami w rozwijaniu się życia prawnego narodów. Pomiędzy temi ogólnemi normami prawnemi jest także norma, odnosząca się do obowiązań ofert. § 118 kodeksu cywilnego brzmi jak następuje: „Kto komuś innemu ofiaruje zawarcie układu, jest zobowiązanym do dotrzymania go, chyba, że sobie to wyraźnie zastrzegł". Ten paragraf powiada więc, że chodzi tu tylko o jedną osobę, a nie o całą publiczność! Oferta uczyniona jednej osobie jest zatem zobowiązującą. *S. R.*

Patenty, które się opłacają.

Liczni wynalazcy uskarżają się, że wynalazki żadnej w dzisiejszych czasach nie przynoszą korzyści. I rzeczywiście, niejedna nowość patentowana nie jest bynajmniej źródłem dochodu dla wynalazcy, ale pochodzi to jedynie ztąd, że

1) przedmiot patentu nie pociąga kupujących, albo że

2) pomimo niezaprzeczonej wielkiej swej wartości, nie ma wynalazca, albo dosyć kapitału, albo umiejętności robienia reklamy, albo że stawia tak wygórowane ceny, że odstrasza tem kupujących.

Poszukiwania, jakie niedawno czyniono, dały nam zestawienie wszystkich w ostatnim czasie sprzedanych patentów z czego się wykazuje, że jeden wynalazca sprzedał swoje patentowane naczynia wyszynkowe za 2400 marek, inny jakiś aparat, klarujący płyny, za 2000 mk., a jeszcze inny, składane półki do książek, za 4000 marek. Ta sama lista wskazywała sprzedaż patentu na ozdoby powierzchni metalowych za 3200 mk., patentu na hak do klamrów za 20.000 mk., patentu na wagon sypialny za 22.000 mk., na ogniotrwałe materyały za 5000 mk., na automat do biletów za 3000 marek, na naczynia do picia za 14.000 mk., na szufel do śmieci za 4300 mk., na dzban do kawy za 4059 mk., na maszynę do napełniania flaszek za 3000 mk., na pług za 4500 marek, na świder do drzewa za 4000 mk., na maszynę do wykrawania i drukowania kart 200.000 mk., na klucz za 9500 marek, na lampę gazową za 30.000 mk. itp. Oprócz tego mnóztwo jest patentów, za które płacono po 1000 marek. Wykaz ten wystarczy zapewne do wzbudzenia nadziei w sercach wynalazców. Wymienione sumy odnoszą się jedynie do seryi patentów, żaden z tych wynalazków nie był poprzednio praktycznie zużytym — nabywcy ich muszą ponieść sami wszelkie koszta reklamy i rozpowszechnienia owych przedmiotów. Widać jednak z tych sprzedaży, że przedmioty te posiadają pewną wartość. — O fantastycznem *perpetuum mobile* albo jakim tajemniczym motorze nic tam nie czytamy, bo takich rzeczy nikt nie kupuje. Pomimo całej ostrożności, jaką się odznaczają, mogą ci, którzy wymyślą coś rzeczywiście praktycznego, liczyć na nabywcę, mianowicie jeżeli idee dobrze są wykonane, jeżeli modele są zachęcające, i jeżeli zwrócą się na właściwą drogę zużytkowania patentu. *J. A.*

Domy mieszkalne w przyszłości.

Od dawna już przemyśliwali ludzie nad tem, aby zabezpieczać domy od ognia i grzyba. Z biegiem czasu jednak więcej jeszcze postawiono warunków, których wypełnienie ma odpowiadać nietylko interesom budowniczego, ale nadto zadowolić mieszkańców i uwzględnić wszelkie wymagania hygieny. — Dom mieszkalny w przyszłości musi więc być zabezpieczonym od ognia, wilgoci, grzyba, musi być jasnym i wygodnym. Nowoczesne domy odpowiadają pod niejednym względem tym warunkom, ale tylko też pod niejednym, jeżeli bowiem patrzymy na nie okiem krytyka i znawcy, to zauważamy, że brak im jeszcze wielu stron dodatnich. I niedostatki te nie są usunięte wtenczas jeszcze, jeżeli do budowli używa się najlepszego materyału.

Że do budowania domów trzeba użyć materyału najlepszego, to się samo przez się rozumie, dla tego jednak materyał dobry nie potrzebuje być najdroższym. Inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o domy i gmachy zbytkowne.

Obok użyteczności materyału trzeba przedewszystkiem zważać na sposób, w jaki ów materyał bywa obrabianym i na porządek, w jakim cośkolwiekbądź ma być ustawionem, nie jest bowiem wcale obojętnem, gdzie i jak kamień lub cegła jest włożoną. Cena materyału surowego dla domów mieszkalnych musi być niższą, niż dla gmachów zbytkownych, ale materyał powinien być dobrym i trwałym. Jeżeli cegła jest zbyt drogą, to trzeba użyć tańszego materyału, będącego na miejscu. Że to jest możliwem, dowodzą resztki prastarych budowli. — Rzymianie wznosili jeszcze przed narodzeniem Chrystusa gmachy z materyałów, które nie były sztucznie przepalane, ani ciosane dłutem. Materyałem owym był beton, wyborny i tani, i betonu ma się też używać do mieszkalnych domów w przyszłości. Posiada on wszelkie zalety, które umożliwiają budowanie domów tanich i dobrych, i kwalifikuje je na idealne dzieła sztuki budowniczej.

Technika budownicza zrobiła w użyciu betonu wielkie postępy. — Usunęła wszelkie jego ujemne strony, jak pocenie się przy zmianie temperatury, ogromne zużycie cementu itp. Dowiedziono już, że beton, zmieszany z połową cementu, stawia równie silny opór, jak z równą ilością cementu, a nawet im mniej mieszaniny, tem beton staje się lepszym. Wytworzono więc mieszaninę z wapna, cementu i wielkiej ilości piasku, co okazało się najlepszem i najmocniejszem.

Dla wielkiej siły przyciągającej, właściwej betonowi i żelazu, doszła użyteczność tych materyałów przy budowlach do niezmiernie wysokiego znaczenia. — Wszędzie więc, gdzie się znajdują gruzy, żwir i piasek, można budować domy bez wielkich kosztów, z gwarancyą suchości mieszkań.

Widząc taki dom, niktby nie poznał, że materyał budowlany składa się z żwiru, gruzów, piasku, cementu itp. A jednakowoż cały dom jest zbudowany z masy betonowej, nawet to, co zdaje się być wyciosanem z kamienia, nie jest niczem innem, jak zwyczajnym betonem, który na wierzchu zmieszany z miałkim piaskiem, naśladuje łudząco kamień. — Podług najnowszych ulepszeń tego systemu budowania, istnieje możliwość wyrugowania w znacznej części żelaza, bez ograniczenia mocy i oporu murów, ścian i t. d. Usiłują wymyślić konstrukcye, przy których oszczędziłoby się o połowę żelaza. Na wielkie i największe masywne belki sufitowe, np. użyto tylko żelaza walcowego w podrzędnych profilach, które zastępuje zupełnie owe ciężkie T belki, i jest nietylko łatwem do przenoszenia, ale nadto nie obciąża tak bardzo murów. Oprócz tego zmniejsza się o wiele niebezpieczeństwo ognia. Jest to wprawdzie tylko wtenczas, jeżeli się użyje betonu, nie palącego się i urządzenia konstrukcyi wykluczającej kompletnie żelazo. Pożar bowiem może zniszczyć dom kamienny i żelazny, jak to się niedawno stało w Ameryce. Okazało się tam, że skoro belka żelazna nie jest do pewnej grubości okrytą betonem lub gliną, to nie stawia ogniu większego oporu, niż drewniana, o tyle zaś jest niebezpieczniejszą od drewnianej, że skrzywiając się i zginając w płomieniach, przyspiesza zapadnięcie się całego budynku. — Za pomocą więc

nowego tego materyału, będziemy mieć w przyszłości domy masywne, trwałe, lepsze i tańsze. *W. D.*

Zapiski techniczne.

Największe lokomotywy na świecie posiada Ameryka. Union Railway w. Północnej Ameryce używa ich na linii 12 ang. mil długości, a należącej do rozmaitych fabryk stali. — Każda machina waży 103,000 kilogr., a należący do nich tender 47,000 kilogr. Machina ma 8 kół o średnicy 1,37 metra. Średnica cylindrów wynosi 58,5 centymetrów obok kolbenhubów o 81 centymetr. Cała machina wygląda niezmiernie imponująco i posiada siłę, zwalczającą wszelkie przeszkody.

Największa fabryka machin parowych znajduje się naturalnie także w Ameryce i jest w posiadaniu Metropolitan. Street Railwey Company w Nowym-Yorku. Zawiera ona 87 kotłów o najwyższej sile à 800 koni. a zatem razem 70.000 H. P. Fundamenty kotłów i machin są, ponieważ miejsce budowli leży nad Hudsonem zbudowane na sztucznie przygotowanym gruncie, składającym się z 7854 drewnianych słupków, wbitych przecięciowo na 35 stóp w ziemię. a pokrytych na 4 stopy wysokości warstwą wapna. Najwspanialszą częścią fabryki jest komin, stojący pomiędzy machinami a kotłami. Wyższym od niego jest tylko jeszcze komin chemicznych zakładów w Glasgowie (w Anglii). Rozmiary jego są następujące: wysokość 353 stóp. obszar gruntowy 55 stóp kwadr., średnica tegoż 80 stóp, a średnica równa wewnętrzna 22 stóp. Do zbudowania komina spotrzebowano 3,400,000 kamieni, ważących 8540 ton. Miejsce, na którem stoją machiny, zawiera 11 Compound machin à 6600 H. P., z których każda jest przytwierdzoną do 3 faz. prądów o 60,000 Volty. Fundament każdej machiny jest zbudowanym w kształcie pryzmu o powierzchni gruntowej 1200 stóp kwadr. i wznosi się o 29 stóp ponad gruntem sztucznym. Do każdego fundamentu zużyto 450,000, dla wszystkich więc razem 4.950,000 kamieni, co wcale pokaźną jest sumą!

Wieża Eiffel w ruchu. Podług sprawozdania pułkownika Bassota, ulega wieża Eiffel stósownie do pory dnia rozmaitym inklinacyom. Bassot twierdzi, że powodem tego jest ogromna masa żelaza. — Wierzchołek wieży odbywa od wschodu do zachodu słońca 20 cent. drogi, pomimo to bezpieczeństwo konstrukcyi żelaznej bynajmniej nie jest naruszonem. Podług tego twierdzenia więc, byłaby się wieża mniej więcej o 2 kil. posunęła z miejsca.

Największą w świecie dynamo-machinę będzie wkrótce posiadać the Elevated Railway Company w Bostonie. Buduje ją zaś Valker-Company w Clevelandzie. Ma ona siłę 3000 kilowatts przy szybkości 75 obrotów na minutę. — Rama z lanej stali waży 22,675 kilogr. przy średnicy 6.604 metrów. Odległość pomiędzy dwoma przeciwległemi biegunami wynosi 4724 metr. Wał armatury ma 0,94 metr. średnicy. 1183 miedzianych sugmentów tworzą commutator, którego średnica wynosi 2667 metrów. Bezpośrednio z armaturą jest połączone ogromne koło pędowe. Kolosalna ta machina waży ze wszystkiem 113,375 kilogr., a każda jej część jest wykonaną z największą starannością.

Kto o niczem nie chce zapomnieć, ten powinien sobie kupić mały, ładny notesik, wynaleziony niedawno przez Maksa Tiede w Magdeburgu. Jest to brelok do zegarka, składający się z kilku kartek. Wierzchnia i dolna kartka służą za okładki podczas kiedy na środkowych można pisać. Kartki są z takiej masy, że pismo ołówkiem łatwo można zetrzeć i używać na nowo. Gdy się napisze co na taką kartkę, przytwierdza się notesik za pomocą karab. haczyka do łańcuszka i mając go ciągle na oczach, nie zapomina się o notatce. Okładki są artystycznie wykonane, tak, że całość tworzy prawdziwą ozdobę. Panie mogą to nosić wygodnie przy bransoletce.

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Węglan siarczany korzystnie wpływa na urodzajność ziemi, jeżeli go się używa kilka miesięcy przed obrobieniem roli. Użyty w czasie wegetacyi, niszczy rośliny, w pierwszym za to razie przyczynia się bardzo do obfitych zbiorów. Bakterye ziemi, wytwarzające azot, nie giną. Korzystnego tego wpływu nie można dotychczas wytłomaczyć. Koszta są tak ogromne, że o ogólnem zastosowaniu tego środka nie może być mowy, chyba wtenczas tylko można go użyć, gdy chodzi o uprawianie jakiegoś nadzwyczajnego gatunku zboża i to tylko w małej ilości.

Mierzwienie amoniakiem zasiewów zimowych w jesieni okazało się bardzo skutecznem i lepszem, niż użytek samej saletry chilijskiej na wiosnę. Podług naszego zdania należy użyć obydwóch nawozów przy wszystkich zasiewach zimowych na rolach, nie obfitujących w azot, i to w ten sposób, aby w jesieni, przed wysiewem dać cokolwiek amoniaku a na przyszłą wiosnę mierzwić z góry saletrą chilijską.

Przy mierzwieniu ziemi sztucznemi nawozami zważać należy na to, aby wszystkie te nawozy, jakie ziemia zatrzymuje, zostały starannie worane, jak np. kainit, tomasówka i superfosfat. Saletry chilijskiej używać w późnej wiośnie, skoro ozimina zaczyna rosnąć.

Dla ustrzeżenia kopców z burakami i t. d. od myszy, kazał rządzca hr. Herbersteina, p. Hronda otoczyć kopce rowem na 0,75 mtr. głębokim a 0,50 mtr. szerokim, o prostopadłych ścianach. Na dnie są w pewnej od siebie odległości umieszczone dwa garnki w kształcie dzbanów, o 0,40 mtr. głębokości i 0,25 mtr. średnicy, o gładkich ścianach wewnętrznych. Garnki te są wkopane, tak, że otwór ich znajduje się z dnem rowu w jednej linii. Myszy, zakradające się do kopców, biegają do koła i wpadają w garnki, z których już wydostać się nie mogą. Rów musi być wykopany przed sypaniem kopców.

Amerykańskie nasienie lucerny. Profesor Kirchner w Hohenheim ostrzega rolników przed kupowaniem tegoż nasienia. Amerykańska lucerna nie wydaje dużo, a nasienie jest pomieszane z nasieniem jakiejś gruboziarnistej koniczyny i pomimo starannego czyszczenia nie można koniczyny tej wytępić.

Chcąc się przekonać, czy w życie są robaki, t. zw. wołki, potrzeba tylko garść zboża posypać na gorącą kotlinę. Jeżeli robaki są, to w skutek gorąca wychodzą z ziarnek, i można je wtedy gołem dojrzeć okiem.

Chodowla zwierząt.

Nowy materyał na podkowy. Na wystawie przemysłowej w Turynie wystawił pewien włoski weterynarz, Bottazzi masę aluminiową, t. j. masę, składającą się z aluminium i 4 innych jeszcze metali. Podkowy z tej masy miały następujące zalety: 1) były lekkie, 2) elastyczne, 3) konie nie ślizgały się i 4) że można konie okuć „na zimno“, a że materyał jest bardzo elastyczny, przeto można gwoździć sobie mocniej i pewniej. Z strony włoskiego ministeryum wojny wyznaczono komisyą, która się bardzo pochlebnie o nowych wyraziła podkowach. Cena za 4 podkowy wynosi 2,40 mk.

Drób.

Lekkiego owsa nie chcą kury zwykle jeść, ciężki lepiej im smakuje, chociaż nie należy do ich ulubionej żywności. Jeżeli kury mają być owsem paszone, to najlepiej zeszrótować go i pomieszać z gotowanemi albo parzonemi kartoflami.

Kurniki powinny być ciepłe! Przypominamy to raz jeszcze — w ciepłym bowiem kurniku niosą kury dłużej jaja i na wiosnę zaczynają nieść prędzej!

Ptaki śpiewające i t. d.

Leczenie chorych ptaków wodą. Lubownicy i chodownicy kanarków oraz innych ptaszków śpiewających i pokojowych, używają teraz wody, jako środka przeciw rozmaitym chorobom ptaków. Środek ten okazał się też bardzo skutecznym i to nawet w przypadkach, w których zwątpiono zupełnie o wyleczeniu skrzydlatego pacyenta. Raz chodziło o bardzo kosztowne kanarki, którym transport tak zaszkodził, że prawie nie było nadziei utrzymania ich przy życiu. Kilka z nich zmarniało zaraz, a chcąc uratować resztę, poszedł odbiorca z nimi do wodociągu i puścił na nie strumień świeżej, zimnej wody. Potem owinął je w watę i włożył w pościel. Gdy po upływie dwóch godzin zajrzał do nich, już ich tam nie było, a po długiem szukaniu znalazł je pod łóżkiem, wesołe i zdrowe. Te kanarki żyły. Używanie wody polecają też inni chodowcy, ale przestrzegają przed trzymaniem ptaków tuż przed wodociągiem. Trzeba więc pacyenta wziąść ostrożnie w rękę, zamaczać go prędko w wodzie, owinąć watą, włożyć do pudełka, ale zostawić wieko o tyle otwarte, aby mógł oddychać i po niejakim czasie dać znowu suchą watę. Tak jak zimna woda służy ludziom, tak też może i dla ptaków dobrem być lekarstwem, zachować należy jednak jak największą ostrożność.

Ochrypłym śpiewakom dać wnętrze niezepsutej figi. Ptaszki jedzą to bardzo chętnie. Oprócz tego dawać twardo ugotowanego, utartego żółtka, pomieszanego z cukrem lodowatym.

Skowronki w klatce śpiewają zwykle od Bożego Narodzenia aż do czerwca, a czasem i dłużej jeszcze.

Owoc.

Orzechy. Owoc ten przynosi takie same korzyści, jak inne owoce a co najważniejsze. że orzech właśnie można często sadzić na takiej ziemi, na której wszelkie inne drzewa

owocowe nie rosną. Przekonano się o tem najlepiej w Wschodnich i Zachodnich Stanach Zjednoczonych w Ameryce. I tak w N. Anglii np. obsadzono pagórkowate, kamieniste i jałowe pola, na których nic się nie rodziło, kasztanami oraz wszelkiego rodzaju orzechami, i właściciele tych pól bardzo są z zbiorów zadowoleni. Na Południu postąpiono tak samo, obsadzając całe obszary ziemi orzechami Hickory i Pecon. Ostatnie mianowicie udawają się doskonale, nie potrzebują wiele kultury i rozwijają się dobrze nawet na polach, dotkniętych powodzią. Orzechy można naturalnie przechowywać o wiele dłużej, niż inne owoce i nie wymagają tyle starań i zabiegów. Tracą z biegiem czasu wprawdzie na wartości, ale orzechy dwuletnie są zawsze jeszcze bardzo dobre, chociaż cena ich jest znacznie niższą. Owoc ten ma przyszłość — z każdym bowiem rokiem zwiększa się popyt o nie. Ponieważ są tańsze i zdrowsze niż migdały, przeto i cukiernicy używają ich często zamiast migdałów. Mniemanie, że są niezdrowe i niestrawne, jest mylnem, orzech przeciwnie bardzo jest zdrowym i pożywnym, a użytek z niego jest wieloraki.

Dla ochrony drzew przed zającami, można je też obwiązać cierniami. Wapno samo nie wystarcza, deszcz bowiem zmywa je, a zające spokojnie ogryzają korę. Zamiast ciernia można też użyć trucizny.

Warzywo.

Ogórki. Uprawa ogórkowa w zimie jest najkorzystniejszą gałęzią warzywa, mianowicie dla tego, kto najpierw przynosi na targ to ogólnie pożądane warzywo. Uprawa ogórków zaczyna się już w grudniu, albo w styczniu, jeżeli ogórki mają być dojrzałe na początku wiosny. Z wszystkich gatunków, nadających się do uprawy domowej, okazał się prawdziwy Prescott Konder najlepszym i najkorzystniejszym. Jest też wiele jeszcze innych gatunków, godnych uwagi ogrodników, ale próby dużo kosztują czasu, a mało stosunkowo przynoszą zysku. Do wysiewu najlepszego trzeba wziąść nasienia. Włożyć ziarnka w wełnianej łatce przy *plus* 18 do 24 stopni ciepła i odpowiedniej wilgoci w inspekta, i wysadzić kiełkujące pojedyńczo w małe doniczki, napełnione dobrze uprawioną ziemią. — Doniczki muszą stać na słońcu w 18 stopniach R. — Skoro szybko rozwijające się flancki zapuszczą korzenie, trzeba je przesadzić w większe donice, aby mogły lepiej rosnąć. Gdy wyrośnie czwarty listek, trzeba przyciąć flancki u góry, aby się rozwinęły boczne gałązki.

Kwiaty.

Róże na pniu dębowym. Dochodzą nas liczne pytania, kiedy i jak okulizuje się róże na młodych pniach dębowych, aby kwiaty nabrały czarnego koloru. Jeżeli czytelnikom zdradzimy teraz ową tajemnicę, to dla tego, aby ci, którzy nie znają praw natury życia roślinnego, dowiedzieli się, o co właściwie chodzi. W jednej z amerykańskich gazet było raz podpadające ogłoszenie, w którem autor jego ofiarował się udzielić każdemu, kto przyśle 1 dolara (4,25 mk.) tajemnicy chodowania czarnych róż. Ciekawi taką otrzymali odpowiedź: „Okulizować róże na dębie.“ Z tego powodu stały się tam młode drzewka dębowe podobno o wiele droższe, a ogrodnicy cieszyli się niezmiernie, że raz przecież otrzymają czarne róże. Okulizowano więc bardzo pilnie i starannie. Oczka były świeże — wkrótce opadły resztki łodyżek i pewnego dnia były wszystkie oczka — czarne, jak te, które się nie przyjmują. Mister Humbug, który tyle ludzi naoszukiwał, znikł bez śladu z dolarami. Na tę pamiątkę mówią dziś jeszcze ludzie: róże, okulizowane na dębach, będą czarne. Jest to świętą prawdą, bo jak lew nie zaprzyjaźni się nigdy z zebrą, tak róże nie przyjmą się na dębach.

Konwalie, mające kwitnąć w pokoju, rozwijają się o wiele lepiej, jeżeli doniczki z flancami stoją najpierw dłuższy czas na dworze. Zimno nie szkodzi im wcale, nie trzeba ich tylko wstawiać bezpośrednio potem do ciepłego pokoju. W ciemnem, chłodnem miejscu muszą zwolna być do ciepła przyzwyczajone.

Industrya i przemysł.

Chleb i mąka. Z wielkim mozołem usiłuje Francuz pewien, Mouline, zaprowadzić w całej Europie swój wynalazek, polegający na tem, aby chleb miał biały kolor i lepszy smak. Ciemny kolor chleba oraz ostry smak jego przypisuje Mouline na cerealin, zawarty w otrębach, chce go więc zniszczyć przed zemleniem ziarnek na drodze chemicznej, albo raczej sterylizować. Mąkę, jaką się potem otrzymuje, nazywa mąką normalną. Oczyszczoną pszenicę nalewa w tym celu wodą i gotuje, dodając 2—5 procent kwasu octowego. Gotowanie trwa stosownie do twardości ziarn 15—20 minut, skoro ziarna zaczynają pęcznieć, wyjmuje je z wody. Kwasem troszeczkę tylko nasiąkły, cerealin natomiast jest zniszczony i charakter otrąb zupełnie staje się odmiennym. Ziarna suszy następnie i miele, jak zwykle. Normalną mąkę miesza potem z mąką z niesterylizowanego zboża i piecze z niej chleb, który ma być o wiele smaczniejszy, pożywniejszy i strawniejszy. Wynalazek ten jest patentowanym.

Pismo nasze wielu ma zwolenników w kołach przemysłowców i rzemieślników, jak się o tem z licznych przekonujemy listów. Może szanowni nasi Czytelnicy będą tak uprzejmi i zwrócą uwagę znajomym swoim w tych właśnie kołach na „*Pracę*“ a zarazem zjednają nam nowych na rok przyszły abonentów. Ogłoszenia w naszem piśmie umieszczone, zawsze miały powodzenie, prosimy więc raz jeszcze o jak najliczniejsze inseraty.

Kupony jako zapłata. W kołach kupieckich coraz to więcej daje się słyszeć skarg, że kupujący zamiast płacenia gotówką, dawają kupony. Zwyczaj ten staje się dla kupców bardzo przykrym i uciążliwym, mianowicie, jeżeli otrzymują kupony, które wcale jeszcze nie są płatne. Jeżeli zaś nie chcą sobie zrazić publiczności, to muszą je przyjmować. Kupony nie są prawnym środkiem zapłaty, więc też publiczność powinna mieć tyle względu, i zmienić je najpierw na gotówkę u bankierów, którzy zwykle nic za to nie liczą.

Rysunki. Chcąc utrzymać rysunki ołówkiem w czystości i porządku, mianowicie rysunki haftów i t. p. robót, trzeba je pociągnąć glazurą z collodium, do którego dodać 25 proc. steryny (z dobrej sterynowej świecy). Rysunek położyć na płytę szklaną albo na deskę i polać go collodium tak, jak fotograf polewa swoje płyty. Po 10—20 minutach jest rysunek suchy i papier zupełnie biały, ma lekki połysk a tak jest dobrze zakonserwowany, że można go wodą zmywać bez obawy uszkodzenia.

Nie zapominać o dachach! Najmniejszy otwór przepuszcza śnieg i deszcz, co wywołuje wilgoć w domu. Rychłe wyporządzenie chroni od wielkiej szkody. Gzymsy należy także dokładnie zbadać, ponieważ drobne rysy zwiększają się w mrozie, a potem odpadają całe kawały.

Oświetlenie pokoi. Wiadomo, że oświetlenie pokoi zależy po większej części od materyału i koloru ścian. Doświadczenia, jakie w tym kierunku czyniono, wykazały, że ilość reflektujących świateł ma się w procent. jak następuje: czarny aksamit 0,4, czarne sukno 1,2, czarny papier 4,5, ciemno-niebieski 6,5, ciemno-zielony 10,1, jasno-czerwony 16,2, ciemno-żółty 20,0, niebieski 30,0, jasno-żółty 40,0, jasno-zielony 46,5, biały 70,0, zwierciadło 92,3.

Izolowanie murów. Płyty porcelanowe albo gliniane, nie przepuszczające wody, są z jednej strony gładkie, z drugiej zaś zaopatrzone wrąbkami. Te płyty muszą być tak wmurowane, że szorstkie powierzchnie dwóch płyt leżą jedna na drugiej, a miejsce pomiędzy niemi jest próżne, t. j. nie zalepione wapnem.

Zeschnięte i twarde pendzle można wyczyścić, zawieszając je w rozczynie z 100 g. sody i 300 g. wody, a mającym 60 stop. R. gorąca. Pendzle muszą wisieć tak, aby nie dotykały dna. Po 24 godzinach są miękkie i mogą być umyte w wodzie z mydłem.

Do lakierowania przedmiotów drewnianych nie trzeba używać laku olejnego, tylko laku politurowego z spirytusem (Spiritus-Politurlack) takiego, jakiego używają toczkarze. Jeżeli jednorazowe polerowanie nie wystarcza, to dowodzi, że lak był za rzadkim, albo że grunt był niedostatecznym.

Kołownictwo.

Sześć set milionów marek włożono w Francyi w przemysł na automobile, a 200,000 ludzi znajduje tam zajęcie. Francuzki minister wojny zamówił do Sudanu wóz automobilowy o 20 ctr. siły. Pewne małżeństwo angielskie odbywa teraz podróż z Liverpoola do Rzymu pięknym powozem motorowym. Nowy i zajmujący sposób podróżowania, a mianowicie pouczający.

Wozy pocztowe w Niemczech mają być wszędzie zastąpione wkrótce automobilami, próby bowiem wypadły korzystnie. Pytanie tylko, czy fabryki zdążą wypełnić tyle zamówień, bo i z zagranicy dużo się zgłosiło amatorów nowych tych powozów.

Kuracya Schweningera na kole! Dla ludzi otyłych bardzo jest zdrowem jeżdżenie na kole. Pewien inżynier angielski jeździł codziennie mniej więcej 7 kilometrów, wyjątkowo zaś 25 kil. Jadąc, pocił się ogromnie, tem więcej, że pił dużo, zresztą nie zmieniał w niczem trybu życia. Zaczynając kuracyą ważył 101 kgr., po trzech miesiącach 96, po pół roku 87, a przedewszystkiem wyleczył się z dotkliwych cierpień reumatycznych. Przykład godny naśladowania.

Chińczykom zaimponowały niezmiernie welocypedy. Nazywają je już to „gog-ma“ (obce drogi) już to „feitschei“ (latające machiny) albo „sütsin“ (samojadące wozy).

We Francyi otrzymali żandarmi koła.

Wiadomości
dotyczące
handlu, przemysłu i rolnictwa.

Wyłączenia wspólności majątku i dorobku.

Restaurator p. Mieczysław Kalinowski i panna Marya Pressler, oboje z Leszna,

obecnie w Gnieźnie zamieszkali. Kupiec p. Wincenty Feist i panna Stanisława Dworzańska, oboje z Inowrocławia. Inżynier p. Mieczysław Ulatowski z Charlottenburga i panna Władysława Pawlicka z Koźlonki w powiecie wągrowieckim. Miernik p. Kazimierz Rogaliński z Jeżyc i panna Gabryela Osmólska. Technik dentysta p. Wojciech Mielczyński i panna Józefa Urbanowicz, oboje z Wrześni. Mistrz siodlarski p. Roman Niedzielski i panna Julianna Obarska, oboje z Borku. Oberżysta p. Michał Prusinkiewicz i żona Marya z domu Śliwińska z Kościana. Fabrykant cholewek p. Franciszek Knaflewski i panna Ludwika Balczyńska, oboje z Poznania. Restaurator p. Walenty Hoffmann i panna Helena Szulc, oboje z Poznania. Mistrz siodlarski p. Stanisław Szulc i panna Pelagia Chojnicka, oboje z Kruświcy. Mistrz piekarski p. Floryan Synoracki i panna Wiktorya Cecylia Guenter, oboje z Kcyni.

KONKURSY.

Ogłoszono konkurs nad majątkiem: mistrza szewskiego pana Borowińskiego w Koźminie, kupca i handlarza cygar p. Brunona Szpingiera w Poznaniu, kupca p. K. Felickiego w Ujściu, zmarłego mistrza krawieckiego p. Józefa Jerzykiewicza w Gnieźnie, handlarza p. Wincentego Jarantowskiego w Pakości, zmarłego dziedzica dóbr rycerskich, p. Eustachego Rogalińskiego w Królikowie, kupca p. Langiego w Bydgoszczy.

Zniesiono konkurs nad majątkiem: wdowy pani Heleny Michałowskiej i jej małoletniego syna Tomasza Michałowskiego, właścicieli firmy „Globus" w Poznaniu, kupca p. Józefa Kujawskiego w Pakości i kupcowej, pani Zofii Krobskiej tamże.

Nowe firmy i przedsiębiorstwa.

— „Ostbank" zakłada w Poznaniu przy pomocy innych firm fabrykę obrabiania drzewa, na wzór podobnych fabryk w Landsbergu nad Wartą i w Królewcu.

— Pan T. Nowicki, który do niedawna miał skład kolonialny przy ulicy Półwiejskiej, na narożniku ulicy Ogrodowej, w Poznaniu, kupił teraz handel od pana Madera i Spółki na Wildzie i pod własną firmą odtąd prowadzić będzie ten interes.

— Młyn parowy w Śremie. W Śremie odbyło się dnia 29-go z. m. walne zebranie Spółki „Młyn parowy", na którem powzięto uchwałę pobudowania młyna. Na zebraniu został wybrany zarząd i rada nadzorcza Spółki. Zarząd składają panowie Żółtowski z Kądzewa, Ritter z Poznania i Lipiński z Śremu.

— Spółkę melioracyjną utworzyli właściciele ziemscy z Obry, Ziernik, Friedrichshain (?) i Zdziechowa w powiecie gnieźnieńskim. Statuta Spółki potwierdził minister rolnictwa na dniu 21 z. m. i r.

— Właściciele gruntów w miejskim obwodzie średzkim i w Topoli utworzyli Spółkę melioracyjną.

— Fabryka mączki kartoflanej powstać ma w Grudziądzu. W tym celu odbyło się dnia 7-go b. m. tamże zebranie rolników.

Subhasty.

— Nieruchomość w Bogdaju pod nr. 23-cim położona, należąca do spadkobierców po Janie Kuleszy, sprzedaną będzie w sądzie okręgowym w Odolanowie dnia 12-go stycznia przed południem o godzinie 10-tej.

— Nieruchomość w Sierakowie pod nr. 93-cim położona, należąca do Stanisława Sroki, sprzedaną będzie w sądzie okręgowym w Międzychodzie dnia 21-go stycznia przed poł. o godz. 10.

— Nieruchomość w Obornikach pod nr. 8-mym położona, należąca do mistrza szewskiego p. Teodora Fiedlera, sprzedaną będzie w sądzie okręgowym w Obornikach dnia 20-go stycznia o godz. 9-tej przed poł.

— Nieruchomość w Pięczkowie w powiecie średzkim pod nr. 306-ym położona, należąca do gospodarza p. Andrzeja Kolasińskiego, sprzedaną będzie w sądzie okręgowym w Środzie, dnia 25-go stycznia o godz. 10-tej przed poł.

Jarmarki.

— **Inowrocław.** Jarmark gwiazdkowy nie zadowolnił kramarzy. Ruch mimo pogody był względnie słaby. I jarmark na bydło nie odznaczał się większem ożywieniem, przeciwnie, kupujących było mało i ceny płacono nizkie.

— **Janówiec.** Jarmark gwiazdkowy wypadł tutaj dość niepomyślnie. Rzemieślnicy i przekupniarze zawiedli się w ogólności, a niektórym ledwie się podróż opłaciła.

— **Puck.** Mimo ładnego powietrza i związku kolejowego wypadł jarmark wtorkowy licho.

— **Gliwice.** Tutejszy targ środowy na konie i bydło dosyć był ożywiony. Przypędzono około 1000 koni i 300 sztuk bydła rogatego. Kupców przybyło także mnóstwo z miast ślązkich i z jeszcze dalszych stron. Sprzedano bardzo wiele koni i bydła.

Kółka rolnicze.

— Szklarka mielęcka p. Mielęcin. Staraniem p. Hulewicza, dziedzica dóbr Mielęcin i księdza Mindaka z Parzymowa założonem zostało w Mielęcinie Kółko rolnicze, do którego zaraz 64 członków przystąpiło. Wielką potrzebą było założenie tego Kółka w naszej okolicy na krańcach W. Ks. Poznańskiego a granicy śląskiej. Kółko przyczyni się nie mało do oświaty w sprawach rolniczych i finansowych. Dotąd bowiem jedynie żydzi kempińscy ludek nasz w sprawach finansowych „pouczali." — Szczęść Boże nowemu Kółku 299-mu z rzędu.

Poradnik prawny.

— Według wyroku kamergerychtu berlińskiego przewodniczący towarzystwa politycznego nie jest zobowiązanym do przedłożenia policyi oryginalnej listy członków, należących do towarzystwa.

— Kamergerycht berliński zawyrokował, że nowy nabywca posiadłości gruntowej przejąć musi wszelkie zobowiązania swego poprzednika co do zabezpieczenia od ognia, a więc całą polisę przez tegoż zawartą z towarzystwem zabezpieczenia od ognia. Obowiązek ten ciąży na nim nawet wówczas, gdy posiadłości nie nabył wprost od poprzedniego właściciela, lecz na subhaście.

— Kamergerycht berliński orzekł z okazyi procesu przeciw hr. Mielżyńskiemu, dyrektorowi „Bazaru poznańskiego", że rachunki polskich towarzystw muszą być doręczone władzom w tłómaczeniu niemieckiem.

— Z sądu procederowego. Pewien mistrz rzeźnicki oddalił bez wypowiedzenia z pracy czeladnika za to, że tenże w napadzie złości wybił bez powodu małego brata żony chlebodawcy, a nadto zachowywał się w obec chlebodawcy nieprzyzwoicie. Czeladnik zaskarżył pracodawcę o zasługi za dwa tygodnie, sąd procederowy odrzucił atoli skargę, wywodząc, że takie zachowanie się czeladnika uprawniało chlebodawcę jego do natychmiastowego wydalenia z pracy bez wypowiedzenia.

Przepisy i rozporządzenia władz.

— **Minister skarbu** wyznaczył dla oddania deklaracyi podatkowych, wedle § 24 ustawy, dotyczącej podatku dochodowego, na rok 1899 i 1900 termin na czas od 4 do 20 stycznia włącznie.

— **Odbierający przesyłki pocztowe** mają według rozporządzenia ministra finansów, na co się państwowy urząd pocztowy zgodził, zapłacić za legitymacyą uprawniającą ich do odbioru przesyłek na poczcie, podatek stęplowy w ilości 1-ej marki; legitymacyą bowiem uważa się w tym razie jako umowę dotyczącą przedmiotów majątkowych.

Sumę powyższą, którą ściągają obecnie urzędy pocztowe od osób odnośnych, płaci się tylko raz, choćby umowa z pocztą trwała już oddawna. Niezapłacenie tego podatku znosi umowę poprzednio zawartą.

Kupno i sprzedaż.

— **Jeżyce.** Fabryka sztucznych nawozów (dawniej M. Milch i Sp.) nabyła parcelę położoną przy ulicy Wielkiej Berlińskiej nr. 79 od kupca S. Friedenthal'a z Poznania za 12 tysięcy marek. Budowniczy p. Stanisław Bajon sprzedał swą kamienicę przy ulicy W. Berlińskiej nr. 69 panu Franciszkowi Jankowskiemu, restauratorowi z Poznania, (Chwaliszewo 68) za 130 tysięcy marek.

— **Września.** Pan Jagodziński nabył dom z gruntem od p. Witkowskiego za 35,000 marek.

— **Śrem.** Kupiec Bry sprzedał swą własność w Rynku blachnierzowi Ernstowi za 33 tys. marek.

— **Gniezno.** Panna Fr. Konieczna sprzedała swą posiadłość ogrodowemu p. Simonowi za 36,000 marek.

— **Grudziądz.** Dobra p. Pawłowskiego Rychnowy, 603 mórg ziemi, przeszły drogą przymusowej sprzedaży na własność syna dziedzica Koehna z pod Chojnic, który zapłacił za nie 44.500 marek.

— **Pelplin.** Majątek Józefowo, które należało niegdyś do znanej u nas rodziny obywatelskiej Ornaszów, nabyło jakieś prywatne towarzystwo berlińskie za 300 tysięcy marek. Szkoda 2300 mórg polskiej ziemi!

— **Oborniki.** W tych dniach przejął p. dr. Stanisław Żółtowski, syn p. hr. Teodora z Nekli, majętność Wargowo z folwarkiem Swiergówki na własność,

Wargowo należało dotąd do p. hr. Żółtowskiego z Nekli, a obecnie przepisał je na syna.

— **Rawicz.** Hr. Grudziński, do którego należą dobra Osiek, sprzedał kupcom Wilczewskiemu i Abrahamowi z Wronek 350 mórg lasu. Ostatni zamierzają w pobliżu tegoż pobudować tartak.

Rok 1899, rok Niedzielny!

Rok nowy, ostatni w obecnem stuleciu, wskazuje nam cały rząd nadzwyczajności kalendarzowych. Jest on przedewszystkiem rokiem Niedzielnym, i to w całem znaczeniu tego słowa, bo nietylko się w Niedzielę zaczyna, ale się też i w Niedzielę kończy. Dla tego ma największą liczbę Niedziel, jaka tylko być może w jednym roku, t. j. 53. Inna nadzwyczajność polega na tem, że nietylko wszystkie cztery Niedziele adwentowe przypadają w grudniu, ale i t. zw. złota Niedziela przypada na 24 grudnia, a zatem na rzeczywiście ostatnią Niedzielę przed Bożem Narodzeniem. Drugie dwa wielkie święta przypadają w tym roku bardzo wcześnie, i tak Wielkanoc na 2 i 3 kwietnia, a Świątki na 21-go i 22-go maja. Na Wniebowstąpienie może być bardzo niekorzystne powietrze, przypada ono bowiem na dzień św. Mamertusa, który, jak wiadomo, jest jednym z owych srogich, zimnych świętych. Jest to 11 maja. Wielki Piątek będzie w ostatnim dniu marca, a z powodu rychłej Wielkanocy będzie karnawał bardzo krótkim. Bo podczas kiedy w ubiegłym roku trwał 6 tygodni i 5 dni, a zatem razem 47 dni, to w roku bieżącym będzie o 8 dni krótszym. Popielec przypada już na 15 lutego, więc karnawał trwać będzie tylko od 6 stycznia do 14 lutego, a zatem 5 tygodni i 4 dni, razem 39 dni. Dla nas katolików ma rok przyszły dni niedzielnych i świątecznych 74.

Dział kobiecy.

Przepisy gospodarskie.

Czyszczenie włósia. Nie wymaga to ani zbyt wiele trudu ani pracy. Włósie należy włożyć w wannę od prania, nalać je kilka razy warem, przykryć wannę grubą chustką i zostawić je tak na godzinę. Potem spuścić wodę, polać włósie obficie mydlinami i znowu mocno je przykryć. Gdy woda nieco przestygnie, wycisnąć i wytrzeć włósie należycie, odlać mydliny, włożyć włósie znowu w wannę i polać znowu warem, przemieszać doskonale kijem, zostawić przykryte na godzinę, i jeszcze raz w nowej, gotującej wodzie przepłukać. Potem rozłożyć je na wielkich chustach lub t. p. w słońcu albo w blizkości ciepłego pieca. Po uschnięciu wyciągać, aby się stały puszyste.

Wywabić tłuste plamy z jedwabnych materyi. Dotykać lekko plamy białą płócienną łatką, umaczaną w chemicznie czyszczonej glicerynie, nie trąc wcale, i powtarzać to dopóty, dopóki plama nie zginie. Kolor jedwabiu nic na tem nie ucierpi, a plama żadnych nie zostawi brzegów.

Aby trzewiki były nieprzemakalne, trzeba ogrzaną skórę natrzeć mieszaniną z łoju, smalcu wieprzowego i wosku z dodatkiem odrobiny oleju terpentynowego.

Noże i widelce, mające plamy rdzy lub inne czarne plamy, trzeba czyścić spirytusem albo octem i popiołem z cygar.

Elektryczne pranie. Inżynier włoski, Mikołaj Tesla, zbudował aparat, mający za zadanie ułatwienie ludzkości obchodzenia się bez — mydła. Jak wiele wynalazków, i pomysł aparatu przyszedł Tesli wypadkowo. Pewnego dnia słynny elektrotechnik, pracując w laboratoryum, zauważył klosz miedziany, bardzo zabrudzony. W chwili połączenia klosza z t. zwanym oscylatorem elektrycznym powstał niby tuman kurzu, a po chwili miedź jaśniała, jakby wyczyszczona najpiękniejszą pomadką do czyszczenia metali. Aparat Tesli jest podobno bardzo prosty w budowie i zajmuje mało miejsca. Jeżeli zarysujemy miękkim ołówkiem skórę na ręce, a potem połączymy dłoń z aparatem, ołówek znika z szybkością błyskawicy. Dr. Robert Newmans, prezes stowarzyszenia elektro-terapeutycznego w Buffalo, w stanie nowojorskim, zapewnia, iż oprócz względów praktycznych, aparat Tesli może mieć wielką przyszłość w medycynie. Wynalazca twierdzi, iż nietylko skórę ludzką lub zwierzęcą, lecz każdą tkaninę zabrudzoną prać będzie można z łatwością przy pomocy elektryczności. Zwłaszcza w szpitalach, gdzie prana bywa bielizna chorych na najrozmaitsze choroby, nieraz zaraźliwe, pranie elektryczne znaleźć może szerokie zastosowanie, elektryczność bowiem nietylko czyści, ale zabija wszelkie organizmy chorobotwórcze w tkaninie.

Bieliznę, przypaloną żelazem bieli się w ten sposób, że najpierw, jeżeli jest krochmaloną, wyprać z krochmalu w gorącej wodzie. Potem przygotować z 900 gramów wrzącej wody i 100 gramów chlorkalku płyn, i sklarować go dobrze. Umaczać w płynie małą łatkę i nacierać nią lekko przypalone miejsce dopóty, dopóki plama zupełnie nie zniknie. Łatkę trzeba umaczać kilka razy.

Poduszki z papieru. Przemyślni i praktyczni Amerykanie użytkują wszystko, nawet najmniejsze kawałeczki papieru. Krają w tym celu wszelkie papiery w drobniutkie kawałki, biorąc bibułki, listy, karty, tylko nie gazety, aby poduszka nie nabrała zapachu farby druku, i napełniają temi kawałkami pószewki perkalikowe. Należałoby spróbować i przekonać się, czy poduszki takie są dobre i wygodne.

Przepisy kuchenne.

Brunatna glazura. 1) Do białej glazury dodać zamiast soku cytrynowego 70 gr. dobrej, ciepłej i rozmiękłej czekolady waniliowej. 2) 2 części cukru, 1 część najlepszej czekolady i trochę wody rozgotować, mieszając ciągle, dopóki masa nie stanie się zupełnie gęstą. Używać, gdy nieco przestudzona. *Żółta glazura.* Do tej glazury dodać odrobinę szafranu. Wszelkie glazury, oprócz czekoladowej, można zaprawić jakim kto chce smakiem, i użyć ich do gwiazd, serc itd. z ciasta, jakie się zawiesza na drzewku. Posypane kolorowym cukrem wyglądają ładnie.

Doskonałe obwarzanki. 280 gr. mąki, 150 gr. cukru, tyleż masła, 1 całe jajko 1 żółtko i kilka kropli cytrynowego olejku, zagnieść, cienko rozwałkować i zostawić na kilka godzin w chłodnem miejscu. Potem tworzyć koła albo obwarzanki, położyć na blachę wysmarowaną masłem i posypaną mąką, posmarować rozbitem jajkiem, posypać grubo cukrem i piec w miernie gorącym piecu.



Suknia wizytowa z wełny jasno lila.

Spódnica odcinana na jedwabnej różowej podszewce, przód naszyty podług wzoru ciemno lila akasamitką, spiętą małemi klamrami ze strazu. Przód stanika z plisowanej białej jedwabnej gazy, w taki sam sposób ubrany aksamitkami. Wyłogi, pasek, kołnierzyk i mankiety aksamitne.

Krakowiak *dla polskich dzieci.*

Moskalu! Moskalu!
Nie boję się ciebie,
Bo nad nami czuwa
Dobry Pan Bóg w niebie.

Moskalu! Moskalu!
Masz wojska nie mało,
Lecz aby nas zabić
Przecie go nie stało!

Moskalu! Moskalu!
Źle ty myślisz sobie...
Że Ojczyzna nasza
Już na wieki w grobie!

Choćbyś wciąż nas męczył,
My przecie wytrwamy
I Polsce zaginąć
Nie damy! nie damy!

Jadwiga Strokowa.

Gwarantowana liczba stałych abonentów

6000.

PRACA



Racławice.

Szanownych Czytelników prosimy usilnie o łaskawe rozpowszechnianie naszego pisma.

Sygnały.

I.

„Naprzód!“ Pobudka gra już, dzień świta,
Z nieba od wschodu pierzchają gwiazdy,
A ziemia jeszcze śpi, mgłą przykryta.
„Marsz!“ I ot mgłę jej prują rozjazdy,
I z snu tententem budzą kopyta.

„Marsz!“ Wojsko raźno wychodzi z sioła.
Kto żyw to wstaje żegnać wojaków.
Proboszcz z kropidłem w progu kościoła,
A na dzwonnicy para bocianów,
A pod figurą dziatwa wesoła.

„Baczność!“ strzał pada, wraz drugi, trzeci,
Turecki bęben warczy, grzmią działa.
„W imię Boże! Naprzód!“ Żołnierz leci,
I niknie — choć już mgła się rozwiała,
Chociaż już słońce nad lasem świeci.

II.

„Stój“ Trąbią apel. Na zachód krwawy
Słońce jak kula ognista zbiega.
A trąbce derkacz wtóruje z trawy,
I tentent w dali wciąż się rozlega.
„Marsz!“ Wojsko raźno wraca z wyprawy.

„Równaj sie!„ Rotmistrz liczy plutony.
„Baczność!“ Chorąży czyta nazwiska.
„Jest“! lub milczenie, lub jęk stłumiony.
Jeden drugiego serdecznie ściska,
A we wsi biją poległym w dzwony.

Tam na cmentarzu — w środek gromady
Wszedł proboszcz — wszyscy zgięli kolana.
„Amen!“ Już kończą kopać grób dziady.
Przy grobie klęczy dziatwa spłakana.
A z nieba księżyc spogląda blady.

L. Brzozowski.

Nasi posłowie w nowym parlamencie.

Po ciężkich przejściach ery t. zw. „ugodowej“ Koło polskie zawinęło wreszcie do spokojnej i cichej przystani, gdzie spotkać się może tylko z uznaniem i sympatyą ogółu. — Pojmując aż nadto dobrze, jak z wielu względów posłom naszym polityka konsekwentnej opozycyi osobiście może być przykrą, ogół ten z uznaniem przyjmuje do wiadomości każdy fakt, świadczący o gotowości naszych posłów zbliżenia kierunku swej polityki do zapatrywań społeczeństwa. Życzyć tylko należy, aby co rychlej zniknęły z horyzontu te resztki dawnych nieporozumień, któreby mogły rzucić cień na dobrą komitywę ogółu i grona parlamentarnego.

Jak dotychczas, ogół nasz nie ma powodu do jakiegokolwiek niezadowolenia: owszem, ostatnie kroki, jakiemi zaznaczyło się dawne Koło i pierwsze kroki nowego Koła powinny z uznaniem być zaznaczone. Już bowiem głosowanie przeciw marynarce było ustępstwem na rzecz przekonań ogółu, bo głosy polskie absolutnie nie ważyły wtedy na szali. Mile dotknęły opinią publiczną dokonane w łonie Koła wybory, a mianowicie wybór posła Czarlińskiego i ks. Jażdżewskiego do komisyi parlamentarnej.

Spostrzegliśmy również w wielu drobnych nawet pismach komunikat sekretaryatu Koła o dokonanych wyborach; nie mieliśmy wprawdzie sposobności stwierdzić o ile wszystkie organy polityczne komunikat Koła otrzymały, bądź co bądź jednak w tym choć tak drobnym fakcie widzimy pewnego rodzaju zerwanie z dawnemi tradycyami, które uprawniały tylko pisma uprzywilejowane do otrzymywania komunikatów Koła. Zbytecznem byłoby dodawać, że właśnie taka zmiana odpowiada życzeniom ogółu nader czułego zwłaszcza na te drobnostki. Miejmy nadzieję, że da się też jakoś rozwiązać kwestya stałych wiadomości z Koła.

Bardzo godnym uwagi i nader taktownym czynem było zachowanie się posłów naszych przy wzmiance poświęconej przez przewodniczącego parlamentu pamięci Bismarka. Bardzo trafne czucie mówiło posłom polskim, że niestosownem byłoby demonstracyjnie wyjść z sali obrad podczas owej wzmianki, lub pozostać w sali — dlatego też zawczasu bez hałasu i zwracania uwagi usunęli się z miejsc swoich. Jak wielką wówczas wagę przywiązywano ogólnie do tego postąpienia, z jaką obawą pytano się wtedy, jak nasi posłowie zachowali się w owej krytycznej chwili — dowodem tego artykuł „Gońca Wielkop.“, przed otrzymaniem autentycznej wiadomości z Berlina i po jej otrzymaniu.

Wybornie rozpoczęły dla nas kampanią parlamentarną dwa przemówienia posłów naszych przed świętami: posła sędziego Mottego i księcia Radziwiłła.

Nie miejsce tu na przytaczanie przemówień tych, znanych zresztą z notatek stenograficznych. Nie od rzeczy jednak będzie wspomnieć o charakterystycznych punktach poruszonych przez mówców.

Przedewszystkiem, gdy dawniej w razach tylko wyjątkowych poruszano w parlamencie sprawę przykrego obchodzenia się rządu pruskiego z Polakami, motywując to tem, że w parlamencie nie miejsce na to — dziś obaj posłowie nietylko swobodnie, ale nawet w silnych wyrazach wygłosili słowa potępienia i pogardy dla polityki eksterminacyjnej.

Poseł Motty, omawiając sprawę wydalań, oparł ją na gruncie międzynarodowym; omówił wydalania Duńczyków, Francuzów i Holenderczyków, aby następnie zaznaczyć, że prócz względów międzynarodowej grzeczności, Polakom przysługuje z r. 1815 prawo, rzetelne i nigdzie nieskasowane prawo, przebywania w obrębie dzielnic dawnego państwa polskiego bez względu na poddaństwo.

To powołanie się na traktat wiedeński jest również — jeśli nie nowem — to przynajmniej znamionuje dążenie do nawiązania porzuconej podczas ery ugodowej opozycyi, opartej na niewdawaniu się z rządem w żaden handel.

Uderza również w obydwóch przemówieniach wzmianka, zapowiadająca omówienie niektórych spraw polskich nieco obszerniej w sejmie pruskim. Mamy tu więc do czynienia z elementem również nowym: z oparciem kierunku polityki posłów do parlamentu na polityce Koła sejmowego. Znaczy to, że dla Koła miarodajnemi będą stosunki rządu **pruskiego** do Polaków, nie zaś fikcyjny lub rzeczywisty interes **Rzeszy niemieckiej**, jak to bywało dotychczas.

Prócz tego jest jeszcze coś więcej: jest obszerne omówienie kroków, jakie poczyniło w obronie Polaków Koło polskie w Wiedniu. Tem samem nabiera przemówienie posła Mottego rzeczywistego charakteru reprezentanta narodowości polskiej, bez względu na etykietę poddaństwa pruskiego, czy austryackiego.

Te same cechy widzimy w przemówieniu księcia Radziwiłła, który w omówieniu ogólnego kierunku polityki niemieckiej dobrał określeń, odpowiadających tej polityce, mniej zaś życzeniom rozmaitych wysoko postawionych osobistości. Tak więc mamy prawo z ufnością spoglądać na Koło i oczekiwać, że rozpoczęte swe prace doprowadzi do końca ku zadowoleniu ogółu, bez względu na to, czy opozycya będzie się tyczyła nowych armat, czy nowych okrętów, lub nowych żołnierzy. *Kazimierz Radwan.*

Groźna konkurencya.

Teraźniejsze przesilenie pieniężne w Europie zwraca na siebie powszechną uwagę, ponieważ zachodzi obawa, że nie

jest to tylko stan przejściowy, lecz objaw niepomyślnego zwrotu w stosunkach europejskich. Pesymiści uważają je za znak, iż Europa nie zdoła już utrzymywać się z pracy rąk swoich i zaczyna żyć z kapitałów zaoszczędzonych w przebiegu wieków; optymiści natomiast utrzymują, że brak pieniędzy, spowodowany jest przeważnie olbrzymiemi przedsiębiorstwami państw europejskich w Chinach, Japonii i Indyach francuskich, które wymagają wielkich nakładów i wypróżniają kasy europejskie. Zdaje się, że prawda, jak zwykle, leży w pośrodku, że z jednej strony kapitał europejski szuka lepszych procentów w przedsiębiorstwach azyatyckich, z drugiej zaś Ameryka wyzyskuje coraz więcej Europę.

Łatwo się o tem przekonać z kilku cyfr, ogłoszonych przed niedawnym czasem. Według urzędowego sprawozdania, wywieziono ze Stanów Zjednoczonych w przeciągu listopada r. zeszłego towarów za okrągłe 120 milionów dolarów, sprowadzono zaś za 53 miliony. Nadwyżka wynosiła więc w jednym miesiącu 77 milionów dolarów. Licząc, że tylko połowa tej sumy przypada na Europę, przychodzimy do wniosku, że w jednym miesiącu odpłynęło około 40 milionów marek do Ameryki, jako zapłata za zboże, mięso, surowce i fabrykaty. Strata roczna Europy wynosiłaby zatem przeszło 1700 milionów marek.

W liczbie przedmiotów, wywożonych ze Stanów Zjednoczonych, wymieniliśmy osobno fabrykaty. Pokazuje się bowiem przy bliższem rozpatrzeniu stosunków, że wyroby przemysłowe odgrywają w wywozie amerykańskim bardzo przeważną rolę, i nietylko rolnictwo, ale także przemysł Stanów Zjednoczonych wytwarza Europie groźną konkurencyę. Gdy Europa wszystkie swoje zasoby przetapiała na oręż i pancerze, obciążając ludność coraz większemi podatkami, Stany wydoskonaliły swoje środki transportowe do takiego stopnia, że koszta przewozu produktów handlowych do Europy stanowią dla nas minimum prawie niedoścignione, a następnie zajęły się rozwojem swojego przemysłu. Przed wyborami do sejmów stanowych rząd waszyngtoński ogłosił wykazy porównawcze rozwoju przemysłowego w Europie i w Stanach. Okazało się, że dziewięć państw europejskich, które mają przemysł rozwinięty, a więc Anglia, Francya, Niemcy, Austrya, Szwajcarya, Belgia, Holandya, Włochy i Rosya, wyrabiają rocznie towarów za 14.000.000 dolarów, same zaś Stany Zjednoczone za 7 miliardów, a zatem prawie połowę wszystkich towarów rzucanych rocznie na rynki całego świata.

Rzecz oczywista, że Stany, posiadające 73 miliony ludności, nie zużywają tych wyrobów, co wynika już z tej okoliczności, że owe 9 państw europejskich, posiadających 265 milionów mieszkańców, pracują także na eksport.

Cyfry te dowodzą, że przemysł Stanów Zjednoczonych równa się prawie połowie przemysłu całej Europy i zarzuca ją swemi fabrykatami, a że zaopatruje ją prócz tego także w zboże, mięso, naftę i kruszce, przeto stale ogałaca ją z pieniędzy. Położenie nie zmienia się wcale, jeżeli przyjmiemy, że wyroby przemysłowe amerykańskie nie rozchodzą się po Europie, lecz tylko na azyatyckich i t. d. rynkach zbytu. I wtedy wytwarzają one konkurencyę wyrobom europejskim i wypierając je, niepozwalają Europie zrównoważyć strat wynikających z dowozu żywności amerykańskiej. W każdym razie przy wyrównaniu rachunków pieniądze z Europy płyną do Ameryki, a stosunek ten w latach ostatnich pogorszył się znacznie, jeżeli wierzyć możemy b. ministrowi angielskiemu Asquithowi, który niedawno oświadczył w mowie publicznej, że w roku przeszłym odpłynęło z Anglii do Ameryki 10 razy tyle złota, co w latach ubiegłych.

Przyczyna teraźniejszego braku pieniędzy w Europie nie jest przemijająca, a odpływ chwilowy kapitałów do Azyi jest już wynikiem pierwotnej przyczyny przesilenia. Państwa eupejskie straciły rynek amerykański i bite przez przemysł Stanów Zjednoczonych, starają się o otwarcie nowych rynków zbytu na Wschodzie Azyi, ale dotąd czynią tylko kosztowne wkłady. Zanim wkłady te przyniosą rzeczywiste zyski, minie jeszcze wiele czasu, a już dziś rynki nasze handlowe i przemysłowe zaczynają chwiać się poważnie, rolnictwo zaś goni ostatkami. Przyszłość zależy do zagadnienia, czy Europa zdoła doczekać się zysku z rynków azyatyckich, czy też przedtem zbankrutuje pod uciskiem militaryzmu i konkurencyi amerykańskiej. *R.*

O „wolne ręce."

Znamiennym rysem niepokojącego stanu w polityce międzynarodowej jest szybkie załatwienie spraw w istocie swej drobnych, lecz utrzymywanych przez czas długi w zawieszeniu, w stadyum nieustannego rozjątrzenia, w formie gotowego zawsze pretekstu do dyplomatycznych zatargów, gdy te w danej chwili okażą się potrzebne dla stron zainteresowanych.

Taką np. sprawą była „Kreteńska," gdzie długoletni ucisk Kandyotów, ciążących ku Grecyi, był nawet powodem wojny nieoględnie wszczętej, a nieszczęsnej dla Grecyi. Europa patrzała na to wszystko obojętnie, dopuściła do wojny, jakkolwiek z góry przewidzieć mogła jej rezultat. Turcya więc święciła tryumf zwycięztwa, pomimo gorących zbrojnych protestów nieszczęsnych Kandyotów. Był to wszakże tryumf wielce złudny. Nagle bowiem owoce tego zwycięztwa jej odebrano, pod pozorem nowych zamieszek na Krecie. Nastąpiło szybkie „porozumienie" mocarstw, posłano energiczne, stanowcze ultimatum, wypędzono z wyspy wojsko tureckie i powołano ks. Jerzego na wielkorządcę. Uczyniono słowem wszystko, o co błagali Kreteńczycy w ciągu lat wielu i o co Grecya prowadziła wojnę. Co więcej, państwa przyjmujące udział w ostatecznem załatwieniu tej sprawy, hojnie wyposażyły swego protegowanego, aby miał o czem rozpocząć rządy w kraju, rewolucyami wycieńczonym. Jątrzącą się tedy od lat tylu ranę — dyplomatycznych zatargów, a raczej żywy do nich pretekst, zagojono całkowicie, z pośpiechem w dyplomacyi europejskiej nie praktykowanym.

Podobnież szybko załatwiono się z nowo-powstałem nieporozumieniem anglo-francuzkiem o Faszodę, w której wymiana kilkunastu poufnych depesz, brzmiących kategorycznie, wpłynęła na przymusowe załagodzenie sprawy wtedy, gdy dawniej stałaby się ona niewątpliwie poważną przyczyną do przewlekłej akcyi dyplomatycznej.

W innym wypadku dziejowym poważniejszej już natury, bo w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, rządy europejskie wykazały zupełną obojętność na przewidywany rezultat wojny, skutkiem czego rachunki jej zostały skończone z niezwykłym pospiechem pod presyą brutalnych żądań Amerykanów, a bez cienia nadziei na interwencyę mocarstw.

Nie jest-że znamiennem tego rodzaju zachowanie się dyplomacyi europejskiej? Nie są-ż wymownemi: z jednej strony ów pośpiech w załatwieniu spraw dawnych zatargów dyplomatycznych, a z drugiej — owa obojętność, pełna krańcowego egoizmu, na pognębienie pojedyńczych krajów i narodów?

Czyż nie świadczy to dowodnie, że horyzont polityczny zaciąga się groźnemi chmurami, brzemiennemi w wypadki dziejowe bez porównania donioślejszego znaczenia, że rządy i narody zaczynają już dziś odczuwać wulkaniczne drżenia oczekiwanych przewrotów tak ważnych, że wobec nich zwykłe sprawy i nieporozumienia dyplomatyczne niegodne są uwagi i sztucznego przewlekania? Że dawne preteksty polityczne są już niepotrzebne, gdyż atmosfera międzynarodowych stosunków jest wyładowana groźną elektrycznością? Że są głębsze, bardziej zasadnicze przyczyny starć przyszłych, że przyczyny te skrywane dotąd starannie w tajnikach narodowych i plemiennych pretensyi oraz pragnień, doczekały się odpowiedniej chwili dziejowej, że już dojrzały i domagają się głośno, by je wzięto pod rozwagę, by rzucono je na szalę przyszłych losów



Trzej Królowie, Monarchowie, wschodni kraj opuszczają...

i rozstrzygnięto stanowczo, chociażby drogą starć groźnych, które musiałyby wstrząsnąć całym światem, pogrążonym dotąd w drzemce, rzekomo pokojowej.

To też nic dziwnego, że wobec wiszącej w powietrzu możliwości takich zapasów tytanicznych, wobec perspektywy wojen morderczych — Europa, a w niej państwa i rządy pragną mieć wolne ręce... i dlatego pośpiesznie usuwają wszelkie drobne przeszkody z drogi, po której ma się potoczyć rydwan losów dziejowych. *S. K.*

Z TYGODNIA.

Jak słusznie ktoś zauważył, w Niemczech pokutuje obecnie duch starego Bismarka, to znaczy że wszystkie przewrotne i chytre tendencye, idea przemocy siły nad prawem i nieliczenia się z przyrodzonemi prawami narodowości ościennych znów staje u steru i prowadzi Prusy ku walce ze wszystkiem co nie pruskie.

Niedawno temu doniosły gazety o nowym przepisie skierowanym przeciw ludności robotniczej górniczej polskiej.

Napływ robotników polskich do Westfalii wydaje się rządowi pruskiemu poważnem niebezpieczeństwem, zagrażającem niemieckiemu charakterowi państwa. Należy więc za pomocą środków represyjnych ograniczyć liczbę robotników polskich, znajdujących zatrudnienie w kopalniach westfalskich.

Tym razem przepisy ograniczające wyszły z urzędu górniczego w Dortmundzie i pod pretekstem potrzeb i wymagań przemysłu górniczego zwracają się przeciwko robotnikom polskim. Rozporządzenie urzędu górniczego w Dortmundzie, składa się z pięciu punktów, które opiewają:

§ 1. Obcojęzycznych robotników wolno w kopalniach i należących do nich pobocznych zakładach górniczych zatrudniać wtenczas tylko, jeżeli rozumieją dostatecznie po niemiecku, aby dobrze pojąć wskazówki przełożonego i informacye swych współtowarzyszów.

§ 2. Jako dozorców, kierowników maszyn, pompiarzy, kotlarzy i t. p. (przepis wymienia cały szereg stopni górniczych, przyp. red.) — wolno zatrudniać obcojęzycznych robotników tylko w takim razie, jeżeli językiem niemieckim władają tak, że mówią nim płynnie i biegle umieją czytać pisaną i drukowaną niemczyznę.

§ 3. Jako dodatek do zwykłej listy robotników ma być utrzymywana osobna lista wszystkich obcojęzycznych robotników, zatrudnionych w kopalniach i w pobocznych zakładach górniczych, i to w ten sposób, aby przy każdym robotniku była notatka, że odpowiada wymaganiom § 1 lub 2. Notatki te prowadzi zarządca kopalń czy też zakład lub jego zastępca.

§ 4. Uchybienie powyższym przepisom karane będzie w myśl ogólnej ustawy górniczej grzywną do 300 marek lub odpowiednim aresztem.

§ 5. Rozporządzenie powyższe obowiązuje z dniem ogłoszenia w dzienniku urzędowym, lecz ma być zastosowanem dopiero po upływie 6 miesięcy do tych robotników, którzy w chwili ogłoszenia tegoż już mieli zarudnienie w kopalni lub zakładzie górniczym, a względnie mieli jedno z fachowych zajęć wymienionych w § 2.

Jak widzimy, przepisy powyższe zmierzają do usunięcia z przemysłowego okręgu westfalskiego robotników polskich, nie władających językiem niemieckim, a utrudnienia sytuacyi tym, którzy władają nim nie dość biegle. Władze wkraczają tu w dziedzinę praw prywatnych jednostek dla celu narodowo-politycznego.

Najciekawszem jest to, że pisma niemieckie w ogólności nie są zadowolone z tego przepisu. Przytaczamy tu głos *„Deutsch. Ztg.“*, która potępia przepisy te w następujący sposób:

Z narodowo politycznego stanowiska nie możemy przepisu tego pochwalić, *polskie wychodztwo, jak się to przekonać można było na wyborach, oznacza narodowe i polityczne osłabienie polonizmu,* podczas gdy odpryśnięte od pnia drzazgi na zachodzie nie mogą obecnie i na długo jeszcze stać się jakiemkolwiek niebezpieczeństwem. Naszem zdaniem to właśnie powinno być zadaniem naszej polityki — ten prąd ku zachodowi wyzyskać z całą świadomością w celu osłabienia polonizmu na wschodzie.“ Słowa te nie dyktowane żadną życzliwością dla nas powinny nas przekonać, jak dalece starać się powinniśmy o pokierowanie emigracyą w ten sposób, aby stała się ona użyteczną dla kraju.

Köllerowskie rozporządzenia wydalania ze Szlezwiku wydały już pierwszy owoc wewnątrz Niemiec: proces dyscyplinarny przeciw prof. Delbrückowi, głos którego niejednokrotnie i my cytowaliśmy na łamach naszego pisma. Jest to znakomity uczony, historyk i profesor uniwersytetu berlińskiego. W ostatnich czasach Delbrück był prawdziwym „biczym bożym“ partyi rządowej, którą chłostał niemiłosiernie biczem doskonałej satyry. Bezpośrednim powodem wytoczenia procesu był ostatni jego artykuł, ogłoszony w „Preussische Jahrbücher“, w którym ostro skarcił postępowanie byłego ministra, a obecnie prezydenta, pana Köllera. Delbrück pisał: „Ostatnie wydalania w północnym Szlezwigu są czynem wołającym o pomstę do nieba. Gdyby kto chciał z historyi wojny duńsko-pruskiej zaczerpnąć przykładów zdradzieckiego postępowania Duńczyków, zapewneby mu słowo zamarło na ustach. Ale wszystko co Duńczycy wtedy robili jest zabawką wobec tych gwałtów, jakiemy my (Niemcy) rządzimy się w tych dzielnicach.

„A jeszcze gorszem niż brutalność, która budzi odrazę ku nam w cywilizowanym świecie, jest zaślepienie, które sądzi, że uzyska trwałe zdobycze w walce narodowościowej przy pomocy takich środków. Tu i owdzie rozpętano u nas narodowy fanatyzm, który dziko i zapamiętale sądzi, że może prawa ludzkości podeptać nogami i który narodowości, zamiast jej służyć, wyrządza nieobliczone straty“.

Za te słowa Delbrück utraci być może posadę. Lecz znamienny to głos, który wskazuje, że Niemcy wkroczyły dziś na pochyłość, z której podnieść im się będzie trudno.

Austrya natomiast daje przykład państwa rządzonego bez wszelkiej energii. Na energiczne słowa z Berlina dał się gabinet wiedeński w znanej sprawie wydalań spowodować ku przeprosinom, jakgdyby Austrya była sobie prowincyą pruską, a pan Bülow zwierzchnikiem pana

Thuna. Tak więc koniecznej doczekaliśmy się sytuacyi, że hr. Thun przeprasza za to, że ośmielił się ująć za austryackimi poddanymi,' których rząd pruski wydalał.

Trudno zdać sobie obecnie sprawę co się obecnie dzieje we Francyi. Cztery razy na tydzień podają z Paryża wiadomość, że sąd przyszedł do przekonania' że Dreyfuss jest niewinny, i tyleż razy wiadomość tę odwołują.

Nie przyczynia się to wielce do ugruntowania stanowiska Francyi w polityce zagranicznej. Anglia znów zaczyna się zbroić, tym razem podobno przeciw wolnej republice boerów w Afryce. Przypuszczają jednakowoż, że pewnie przeciw — Francyi.

W Petersburgu oczekiwane są wielkie zmiany w dyplomacyi i wyższych urzędach w dniu nowego roku ruskiego t. j. 13 Stycznia naszego stylu.

PRZEGLĄD PRASY.

Stanął wreszcie, stanął widomie między swym ludem, ze śpiżu, na trwałym piedestale — wieszcz nasz Adam Mickiewicz. Dziwne, przykre i głębokie uczucie wstrząsa duszą, gdy się czyta opisy obchodu odsłonięcia pomnika poety w Warszawie. Obchód był cichy, żałobny, bezdźwięczny. Bo też tem głębokiem milczeniem, tą kontemplacyą bezwiednie może uczciła Warszawa najwznioślej Tego, kto w sercach Polaków stale zamieszkał. Dobrym jest nawet ten uderzający przedział, który odróżnia uroczystość odsłonięcia pomnika ukochanemu przez naród geniuszowi — od tych tuzinkowych uroczystości pomników cesarskich i królewskich, które się odbywają z fanfarą najętych kapeli, a z pustką w duszy.

Tak też pojęła Warszawa tę uroczystość.

Oto co przed uroczystością pisał **„Kuryer Codzienny“:**

„Gdy jest nam pozwolono stanąć w Warszawie przed postacią Wielkiego naszego Poety odlaną z bronzu, powinniśmy dokładnie zdać sobie sprawę, czem być powinien, czem ma być dzień 24 grudnia, w którym, według programu ułożonego przez komitet i zatwierdzonego przez władzę, ma się odbyć uroczyste odsłonięcie pomnika.

„My nie dopuścimy, aby kto bądź i kiedy bądź mógł zrobić nam zarzut, że nie jesteśmy społeczeństwem dojrzałem, rozważnem i spokojnem.

„Obowiązkiem naszym zjednoczyć się, gdy będzie tego potrzeba, na wspólnem usiłowaniu, aby żaden niewczesny wybryk, czy objaw nie rzucił choćby najmniejszego cienia na uroczystość, która powinna pozostać uroczystością Wielkiego Poety. Mickiewicz nie był jakimś głośnym bohaterem, czy wodzem narodu, dla którego potrzebne by były szumne owacye.

„On był wieszczem. I jak cicho snuł wieszcze swe słowa, tak cichem a głębokie powinno być uwielbienie dla niego.“

W całej prasie polskiej echem uwielbienia rozległ ten dany w Warszawie sygnał uczczenia Mistrza przez głębokie wniknięcie w myśl Jego, w Jego dzieła, w Jego duszę.

Zadaleko byśmy zaszli chcąc przed oczyma czytelnika przesunąć wszystkie te barwne głosy, jakie z okazyi odsłonięcia pomnika jak Polska długa i szeroka rozbrzmiały jednogłośnie. Ujrzeliśmy tylko wszyscy widomie, że silniejszym ponad sztuczne baryery i kordony, któremi poćwiertowali nas wrogowie, jako jeden łańcuch miłości i przywiązania, który opasuje Polskę całą dokoła, a na imię mu Adam Mickiewicz.

„Gazeta Narodowa“ (we Lwowie) tak pisze:

„Sto lat temu jeszcze Go nie było, tego króla pieśni, którego imieniem rozbrzmiewa dziś cała Polska. W Bożą wigilię zeszedł nam jak gwiazda, która niegdyś królów wiodła do Betlehem — na ciemnym firmamencie niedoli i nieszczęść narodowych...

„Sto lat temu nie mieliśmy jeszcze tej potężnej pieśni, która z duszy narodu wydobyła najgłębsze, najczystsze jej dźwięki, wszystkie uniesienia i porywy, wszystkie bole i smutki, tej pieśni raz cichej i błagalnej jak modlitwa, to znowu jak grom silnej, jak kwiat rajski powabnej, a jak ogień palącej! tej pieśni, która wiodła zastępy do boju, w szary tok życia codziennego wplatała się stubarwnym wieńcem, w pracy była zachętą, w nieszczęściach posieszycielką! Nie było jeszcze „tej arki przymierza między dawnemi a młodszemi laty...“

„Sto lat temu zdawało się, że już koniec nietylko wielkiemu państwu, ale że co gorsza, bliski koniec wielkiemu narodowi. Mimo odrodzenia się jego w ostatnich latach przed drugim i trzecim rozbiorem, mimo Sejmu czteroletniego, Konstytucyi 3 maja i wojny Kościuszkowskiej, rozpacz ogarnęła to pokolenie, które przeżyło straszne chwile upadku politycznego, które widziało jak w gruzy rozsypało się wszystko, czem wzrośli, co sercem ukochali — jakoby ziemia zapadała się pod jego stopami, a ciemności ogarniały przeszłość i przyszłość narodu.

„A wtedy, właśnie wtedy, w rok po pieśni legionów, jakoby z jej posiewu, narodził się w małej wiosce litewskiej, z rodziców zaledwie zamożnych, Adam Mickiewicz, ów królduch, który miał dźwignąć naród potęgą swego geniuszu, tchnąć weń przedziwną siłę na dalsze losów koleje, dać cudowną moc przetrwania nieszczęść i zwycięskiego oparcia się wszystkim katuszom i ponętom wrogów.“

Szkoda tylko, że w obchodzie tak wspaniałym i podniosłym był jeden dyssonans, spowodowany, niestety, niedyskrecyą i to ze strony jednego z organów prasy polskiej.

Chodziło o ogłoszenie mowy, której Sienkiewiczowi zabroniono wygłosić. Mowa ta krążyła w odpisach po Warszawie, aż wreszcie dostała się trafem do „Dziennika Berlińskiego“, który ją ogłosił. Następnie powtórzyły ją wszystkie pisma. Ponieważ równocześnie z wydaniem zakazu mowy, Sienkiewicz jako członek petersburskiej akademi nauk założył protest u rządu, więc ogłoszenie tej mowy za granicą wywarło w Petersburgu bardzo złe wrażenie, które źle się może skończyć dla znakomitego pisarza. Zaprotestował on też przeciw takiemu „lekkomyślnemu narażaniu jego osoby“ w telegramie do krakowskiego **„Czasu“:**

„Oświadczam publicznie, że podobną dyskrecyą uważam za szkodę wyrządzoną rzeczy publicznej i za lekkomyślne narażanie mojej osoby. Sąd nad takim postępkiem pozostawiam opinii publicznej.

Henryk Sienkiewicz.“

Krążą niestety w Warszawie wieści, że Sienkiewicz dla wytłomaczenia się z ogłoszenia mowy zawezwany został do Petersburga. Powinno to być nauką i przestrogą, jak oględnie należy powtarzać wszelkie rzeczy natury politycznej dotyczące osobistości z pod zaboru rosyjskiego. Najlepiej zaś braciom naszym w Królestwie pozostawić w polityce wolną rękę. Nadmienić należy, że zupełnie niesłusznie ogłoszenie odezwy kładziono na karb „Dziennika Poznańskiego.“

Wydalania Duńczyków z północnego Szlezwigu wznieciły burzę w prasie niemieckiej przeciw eksterminacyjnej polityce Niemców. W istocie rzeczy rząd używa w tej nierównej walce broni, którą nazywają słusznie gazety niemieckie przymusem sumienia. „Berliner Tageblatt“ pisze sarkastycznie:

„Po wydaleniu „tylko“ 117 duńskich poddanych z północnego Szlezwigu poszedł naczelny prezes p. Köller jeszcze jeden krok dalej w swej polityce eksterminacyjnej. Na wyspie Alsen otrzymało wiele rodziców duńskich zapozew przed sąd okręgowy w Nordburgu „w sprawach opiekuńczych“. Sędzia okręgowy dr. Hahn, który jest zarazem prezesem tamtejszego antyduńskiego Towarzystwa, zawezwał ich w charakterze swoim nadopiekuna, ażeby natychmiast dzieci swoje, przebywające w szkołach w królestwie duńskiem, sprowadzili z powrotem do kraju. Rodzice kategorycznie przeciw temu zaprotestowali, na co im sędzia zagroził odebraniem prawa rodzicielskiego. Inny wysoki urzędnik państwowy w północnym Szlezwigu oświadczył równocześnie, że w najbliższym czasie mają wszyscy młodzi Szlezwiczanie zostać wezwani, aby Danią opuścili i wrócili do kraju. Naczelny prezes Köller zamierza to przeprowadzić w ten sposób, że wszyscy optanci w północnym Szlezwigu mają w najbliższej przyszłości otrzymać nakaz, aby dzieci swoje i dzieci przyjaciół swoich sprowadzili z Danii z powrotem do kraju, w przeciwnym razie wszyscy zostaną wydaleni.

Czyż może być gorszy polityczny przymus sumienia? I to mają być środki, jednające umysły ludności duńskiej dla pruskiej idei państwowej!“

Pruska idea państwowa szuka tymczasem innych jeszcze dróg niemniej „szlachetnych“, aby zaostrzyć istniejące w Poznańskiem stosunki. Oto cały szereg pism konserwatywno-protestanckich wystąpił ze szczególniejszem w ustach protestantów żądaniem: tworzenia osobnych gmin katolicko-niemieckich w Poznańskiem.

Jużeśmy o tem pisali swego czasu, gdy „Schlesische Zeitung ku temu zmierzała.

Obecnie podajemy artykuł, jaki w tej sprawie ogłasza **„Germania“:**

„Niemcy katolicy w polskich dzielnicach znaleźli w hakatystach niezwykłych

rzeczników. Nie da się zaprzeczyć, że w wielu miejscowościach w tych dzielnicach zaspokojenia potrzeb katolików niemieckich połączone jest z trudnościami. Nie jest-że to przykrem np. dla urzędnika niemieckiego, przesiedlonego w te strony, gdy w kościele się słyszy tylko polskie kazania i polskie pieśni? Otóż te trudności i niedomagania starają się teraz hakatyści wyzyskać dla swych celów — żądając, bez żadnego do tego upoważnienia, ażeby dla Niemców katolików zakładano tam osobne parafie. Z powodu tego pisze nam dawniejszy nasz korespondent, który jako misyonarz niemiecki odbywał misye we wszystkich miastach archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej, a więc zna dokładnie stosunki tamtejsze, co następuje:

„Utworzenie wyłącznie niemieckich parafii wśród starych polskich, oraz dokładne ich odgraniczenie i wyposażenie uważam — ponieważ Niemcy katolicy rozproszeni są zwykle po całej parafii — za wręcz niemożliwe a swoją drogą dałoby powód do niebezpiecznych waśni. Projekt to zresztą nie nowy a zawsze okazywał się niewykonalnym. Hasło: „Tu Niemiec — tam Polak!“ stałoby się hasłem religijnem, a takich haseł nie wolno wnosić do kościołów. Ale tego właśnie pragną nasi wrogowie.“

NA DOBIE.

Poznań.

Szanowna Redakcyo!

Nie od tak dawna jestem czytelnikiem „Pracy“, jeden kwartał jednak wystarczył mi dla zapoznania się z uczciwą tendencyą i bezstronnym kierunkiem Waszego pisma. Dla tego też do Was się zwracam dziś w kwestyi, której bym tak otwarcie w korespondencyi do żadnego innego pisma nie poruszył. Chodzi mi o to, że pod pewnym względem w gazetach naszych dział jeden i to bardzo ważny, nie jest opracowywany tak, jakby zasługiwał na to. Sprawy miejskie mianowicie nie ulegają dostatecznemu omówieniu. Weźmy np. taki *Posener Tageblatt.* W szeregu numerów, na naczelnem miejscu, omawia on niezmiernie ważne dla miasta Poznania sprawy wcielenia przedmieść do Poznania. Sprawa ta pozostaje, jak wiadomo, w bardzo ścisłym związku z naszemi kieszeniami i jeśli już nie dlaczego innego, to choć dlatego zasługuje na rozpatrzenie i uwagę ogółu. Takich spraw jest więcej.

Nie chcę tu robić bezwględnego zarzutu naszej prasie, jest ona bowiem niestety, pod tym względem tylko odbiciem usposobienia ogółu. Ale to jest też bardzo smutne, że ogół nasz tak mało jeszcze ma wyrobiony zmysł użyteczności w zakresie lokalnych warunków. Interesując się „wielką polityką“, czego mu zresztą za złe nie biorę, ogół nasz jednak zaniedbuje kwestye drobne i codzienne z pozoru niemniej jednak ważne; tymczasem Niemcy krzątają się żwawo i zabiegliwością swą, swem obznajmianiem się ze stosunkami miasta, powiatu, czy miasteczka, zapewniają sobie przewagę w radach miejskich; i tam właśnie spoczywają fundamenty ich przewagi. A tymczasem opinia publiczna ogółu polskiego jest pozbawiona informacyi w tych sprawach. Natomiast dobrze ona zna wszelkie zwroty w „wielkiej polityce“. Zupełnie to tak, jakby ktoś dom budował od strzechy, nie zaś od fundamentów.

Słyszymy od czasu do czasu o wyludnianiu się wsi na korzyść miast. Wynikałoby z tego, że i my, jako żywioł przeważnie wiejski, przekształcamy się w miejski. Równolegle z tem powinien iść także wzrost wpływu naszego na gospodarkę miast: do tego zaś prowadzić ogół powinna nasza prasa.

Z szacunkiem

Franciszek N.

* * *

„Odwiedziłem niedawno mego znajomego, — pisze nam jeden z czytelników — mającego skromną fabrykę rękawiczek i uderzony zostałem trafnemi skargami na konkurencyą, przekracającą może nieco zakres legalny. Postanowiłem otóż sprawę tę poruszyć i oddać pod dyskusyą ogólną za pośrednictwem *„Pracy“*.

Znajomy mój żalił się w ten sposób: „Pracuję — mówi — jak wół, mam żonę, dzieci, wyżywić się trudno, a czeladzi płacić trzeba. Nie stać mnie na to, abym skład prowadził, więc mieszkam sobie na przedmieściu i robię do składów. Płacą licho i nieregularnie. Trudno, ja muszę kontentować się piętnastym procentem, dla kupców ledwie trzydzieści wystarcza! Taki widocznie porządek. Ale, oni nietylko drą łyko, ile się da, lecz nadto wprowadzają w błąd publiczność. Właśnie przed kilku dniami czytałem ogłoszenie trzech składów, którym mój towar dostarczam, i w każdem ogłoszeniu znalazłem wielki nagłówek *„fabryka rękawiczek.“*

W reklamach zamieszczanych w dziennikach zwyczaj ten dotąd pozostał, z wielką krzywdą dla prawdziwych producentów, gdyż publiczność jest przekonana, że nabywa towar z pierwszej ręki... Albo to tylko z rękawiczkami? A owe *fabryki* krawatów, kwiatów, pończoch, trykotaży i wielu innych artykułów — przecież to tylko blaga właścicieli składów, zaopatrujących się w towar nawet nie w porządnych pracowniach, lecz wprost u biednych, wędrujących wyrobników. Kto w składzie poznańskim przesiedział kilka godzin, ten niejednokrotnie musiał widzieć owe wymizerowane, nędzne postacie z brudnemi koszami...

— Czy nie potrzeba krawatów? (rękawiczek, pończoch i t. d.)

Kupiec, gdy w składzie ma gości, krzywi się niechętnie i wskazuje drzwi... Skoro jednak w składzie pustki... kupuje i najgorszą lichotę, tandetę i w ten sposób podtrzymuje uzurpowany tytuł fabryki...

Dla sprawdzenia powyższych słów przejrzałem kilka dzienników: w istocie 50 procent fabryk! Może ta skarga ma rzeczywistą racyę bytu, a ograniczenie liczby fabryk w reklamach, może i miałoby wpływ na powolny rozwój prawdziwych fabryk i warsztatów, których nam tak wielce brakuje.

Dobrzeby było, aby tak które z Towarzystw fachowych sprawę tę w szczegółach wyświetliło i do informowania ogółu się przyczyniło.“

* * *

„Wiadoma to rzecz nie od dzisiaj, pisze nam jeden z Czytelników z Podzamcza, na pograniczu, w pobliżu Ostrowa, że na złem pożyciu sąsiedzkiem Niemców z Rosyani w pasie pogranicznym najgorzej wychodzą — Polacy. Szykany przy przechodzeniu granicy od niejakiego czasu przybrały barbarzyńskie rozmiary. Na dowód daję przykład: Oto dnia 7 Listopada 1898 wybuchł w Wieruszewie (z tamtej strony granicy) pożar, który w krótkim czasie tak się rozszerzył, że władze telegraficznie zażądały pomocy straży ogniowej z pobliskiego Kępna. Tymczasem mieszkańcy naszego miasteczka, którzy radzi byli przyjść zakordonowym braciom z pomocą, musieli przed kordonem granicznym czekać całemi godzinami, ponieważ odwach rosyjski oznajmił, że przepuści nas dopiero wtedy, gdy nadjedziemy z sikawką. Gdy się wreszcie znalazło kilka osób z sikawką i wyruszyło do Wieruszowa, kordon nie przepuścił ich z powrotem aż dopiero o godzinie 6-ej rano. Tymczasem odległość do Wieruszowa wynosi zaledwie 10 minut drogi! W ten sposób ani z lekarza ani z apteki tamtejszej korzystać nie możemy, natomiast zmuszeni jesteśmy żądać pomocy z Kępna odległego o 11 kilometrów. Niedawno zmarło się jednej kobiecinie z powodu braku pomocy lekarskiej, a dziecko zostało podwójną sierotą na koszcie gminy. Niech to piorun trzaśnie taką cywilizacyą! Zapominamy, że jesteśmy w Europie!

Oddany Wasz

Fr. S.“

* * *

Szanowny Redaktorze!

Wiedząc, jak drogiem jest miejsce w „Pracy“ — staram się rzecz moją przedstawić krótko i węzłowato.

Jedna z gazet warszawskich, referując o pomniku Adama Mickiewicza, uczyniła trafne spostrzeżenie, że od chwili powzięcia projektu pomnika aż do chwili wykonania projektu nie było żadnych odmiennych zdań i projektów, a jeśli były, to się usunęły na bok: i dzięki temu to właśnie uczczenie pamięci Wieszcza wypadło tak okazale.

Inaczej u nas. Gdy jedno z pism poznańskich zaproponowało w rocznicę urodzin Adama iluminacyą powszechną, inne zaraz wysunęły się z innemi projektami i skończyło się na niczem. Trafnie o tem pisze Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, że dla rozważania projektów Buchmann radził zwołać specyalną komisyą i rozważyć, zaś

„że krótkość czasu stała na zawadzie,
nie stało się zadość Buchmanowej
[radzie.

Nie wchodzę w to, czy projekt iluminacyi był gorszy lub lepszy od innych: był jednak projekt, który można było wykonać. Otóż to jest, że u nas wszyscy czują się powołani do rady, a mało kto do wykonania.

S. O.

Z kraju i z obczyzny.

W Krakowie z powodu dobiegającej 400-setnej rocznicy założenia wszechnicy jagiellońskiej ma się odbyć w roku 1900 wystawa zabytków i rzeczy mieszczańskich krakowskich. Gdy urządzone dotąd wystawy obejmowały przeważnie przedmioty będące własnością magnatów i szlachty, wystawa przyszła ma mieć wyłącznie charakter mieszczański.

Celem wystawy ma być przedstawienie na okazach przeszłości miasta i jego instytucyi, przypomnienie postaci znakomitości miejskich, wreszcie przedstawienie stroju mieszczan i ludu krakowskiego. Okazy odnosić się mają od czasów najdawniejszych do końca zeszłego wieku, a osobny dział tworzyć będą pamiątki z czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815—1846 roku). Dążeniem inicyatorów jest utworzenie po wystawie stałego muzeum miejskiego pamiątek i zabytków przeszłości, ściśle z dziejami mieszczan złączonych. Rada miejska musiałaby dać, jak przy innych wystawach kosztownych przedmiotów, gwarancyę za ich bezpieczeństwo i całość. Urządzenie wystawy projektują w salonach Sukiennic, zajętych obecnie przez Towarzystwo sztuk pięknych.

W Wilnie odbyło się ciche nabożeństwo za spokój duszy Adama Mickiewicza. Ulicę, ochrzconą mianem Murawiewowskiej zaczyna lud nazywać „Mickiewiczowską". Na kilka dni przed odsłonięciem pomnika Murawiewa był odczyt w gimnazyum o zasługach Murawiewa, oznajmiono jednak przedtem uczniom, że jeśli który z nich nie ma chęci słuchać odczytu, ma prawo wyjść ze sali. Wszyscy tedy Polacy powychodzili. Nazajutrz po lekcyi zapytano uczniów, dla czego wyszli; jeden z nich odpowiedział: „Murawiew powiesił mojego dziadka". Po tej odpowiedzi innych już nie badano.

W Petersburgu odbył się wieczór grona literatów i pisarzy, poświęcony uczczeniu niezapomnianej pamięci Wieszcza Adama.

W Pradze odbył się w wielkiej sali Miestianskiej Besedy wielki wieczór Mickiewiczowski. Obchód zagaił członek „Ogniska polskiego" p. Szymański (po polsku). Następnie wśród oklasków wszedł na estradę ubóstwiany przez Czechów poeta Virchlicky i deklamował wyjątki z Mickiewicza (po czesku). Poecie urządzili akademicy polscy piękną owacyą. Gdy bowiem Virchlicki wchodził do sali, utworzyła młodzież szpaler i przechodzącego pieśniarza zasypała wonnemi różami. Rozrzewniony do łez poeta wygłosił prześliczną „Apoteozę" (własnego utworu) na cześć nieśmiertelnego Adama.

Nastąpiły różne jeszcze deklamacye polskie i czeskie, produkcye muzyczne i śpiewy solo, poczem odbyła się wspólna Czechów i Polaków zabawa.

Klub polski w Pradze urządził „Gwiazdkę" dla ubogich dzieci. „Gwiazdka" odbyła się w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

W Rzymie Polacy obchodzili setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza w następujący sposób: Rano nabożeństwo w kościółku OO. Zmartwychwstańców, poczem gromadne udanie się na Kapitol, gdzie znajduje się (w pałacu konserwatorów) biust marmurowy poety dłuta Wiktora Brodzkiego i gdzie nasz rzeźbiarz, który jest zarazem najstarszym członkiem kolonii polskiej, uwieńczył skronie wieszcza wieńcem wawrzynowym. Także i nad tablicą marmurową w ulicy del Pozzeto nr. 112, gdzie Adam Mickiewicz mieszkał w roku 1848, zawieszony został wieniec z kwiatów.

Z Lozanny piszą o uroczystości Mickiewiczowskiej do „Dzien. Poznańskiego":

(S. P.) Przebieg uroczystości był następujący: Obecni: Komitet w komplecie, przedstawiciele uniwersytetu, rady kantonalnej, inteligencyi lozańskiej, dalej delegaci młodzieży polskiej, studyującej za granicą, dalej pp. Władysław Mickiewicz z Paryża i J. Paderewski, mieszkający w Morgds pod Lozanną.

Uroczystość zagaił wiceprezes komitetu, profesor Laskowski z Genewy, witając zebranych i objaśniając cel uroczystości. Honorowe prezydyum oddał jednemu z członków rady kantonalnej, panu Virieux. Następnie odczytał mowę uroczystościową za chorego profesora Kallenbacha, który mimo to był obecnym, prof. Girnda z Fryburga.

Po przemówieniu profesora Laskowskiego nastąpiło, wśród ogromnego entuzyazmu obecnych, odsłonięcie marmurowej tablicy pamiątkowej, zakrytej dotąd sztandarami kantonu wodeńskiego i Towarzystwa emigracyjnego genewskiego. Tablica pamiątkowa, dzieło rzeźbiarza genewskiego, jest arcydziełem i przedstawia wierne odbicie twarzy wielkiego wieszcza, co przyznał sam Wład. Mickiewicz.

Po odczytaniu świetnej mowy, dziękuje prof. Laskowski za dowody sympatyi i przychylności przedstawicielom Lozanny.

W dalszym ciągu przemawiał rektor uniwesytetu lozańskiego, p. Renevier, w imieniu uniwersytetu, wskazując na złote czasy rozkwitu uniwersytetu lozańskiego na czasy profesorstwa mężów, jak Quinet, Mickiewicz, Saint-Boeuf i innych.

Punktu kulminacyjnego doszedł zapał po ognistej, pełnej przejęcia się przemowie prorektora uniwersytetu lozańskiego, p. Comb, który był tłumaczem zapału i czułego wspomnienia wolnej Szwajcaryi o wieszczu polskim. Zaznaczył, że losy Polski związane są z ideą europejska o wolności, że ostateczny upadek Polski równałby się zatracie wolności i kultury.

Profesor Laskowski zamknął uroczystość, dziękując raz jeszcze za wyrazy głębokiego szacunku dla Polski. — Nadeszło mnóstwo telegramów i listów ze wszystkich stron Polski i z emigracyi.

(Redakcya nasza przesłała również wyrazy czci dla wieszcza i oświadczenie, że łączy się duchem z uczestnikami uroczystości. Przypiszek Redakcyi „Pracy").

Polacy w Danii. Nie wszystkim zapewne wiadomo, że w Danii, na wyspie Laland, co roku przebywa przez lato spora liczba robotników, t. zw. obieżysasów z Wielkopolski. Gorliwy wikaryusz apostolski z Kopenhagi, biskup Van Euch, postarał się o zapewnienie im opieki duchownej. Młody kapłan duński, konwertysta, jak wszyscy niemal katolicy duńscy, ks. Ortved, nauczył się doskonale po polsku; ze składek, zebranych ze wszystkich stron, zbudował w głównem ognisku emigrantów, w Mariebö, piękny kościołek i plebanią, a obecnie wznosi szkołę polska i cały oddał się na usługi Polaków, których jest proboszczem. — Piękny zaprawdę przykład tego ducha powszechności i braterstwa, jaki cechować powinien kapłanów katolickich.

Sursum Corda!

Bracia, wśród ruin, nawałnic i burzy
Trzymajmy sztandar Ojczyzny wysoko,
Chociaż horyzont nam groźnie się chmurzy,
Choć się wśród nieszczęść nasze łzawi oko,
Bo dziennym napojem piołunu czara,
Niechaj z nas przodków nie wygaśnie *wiara!*

Sprzysiągł się na nas cały rój szatanów,
Ścigają wszędy piekła wrogie duchy,
My się nie zlękniem niewoli kajdanów,
Wśród cierpień mężnej nie stracim otuchy,
Póki *nadzieją* naród polski żyje,
Wciąż do wolności jego serce bije.

Jedności tylko są trwałe ogniwa,
Żadna ich ziemska nie przerwie potęga,
Sterczą jak silna, żylasta cięciwa
Łuku, którego grot cel swój osięga,
Niechaj więc zgodnie brat dłoń ściśnie brata
I trzyma się mężnie wśród wrogów świata!

Nieśmy krzyż, Bracia, z wiarą i nadzieją,
Pełni otuchy, iż po prób niedoli
Promienne gwiazdy znów nam zajaśnieją,
Zrzuci Ojczyzna kajdany niewoli,
Krzepny wzajemnie się lepszą przyszłością,
Wiarą, nadzieją i bratnią miłością!

Jeszcze stanowcza nie biła godzina,
Cierpim wciąż jeszcze za grzech nasz i dziadów,
Lecz już zaranie błyskać nam poczyna
I lśni jutrzenka wśród gwiazd myriadów,
Głosząc nam wolność, ciemności rozprasza;
Więc z gruzów powstanie Ojczyzna nasza!

Wingolf.

Ciepłem serc naszych...

Każdy na świecie swoją ma rolę,
Na niej pracować Sam kazał Bóg;
Choćbyś tej siejby zbierał kąkole,
Albo miast róży zwyczajny głóg.

Siejmy więc, siejmy, marząc, że przecie
Szczęście nam zbiorów przyniesie czas,
Niech nas nie straszą burzy zamiecie,
Sił nie pozbawia prac ciężki głaz.

Ciepłem serc naszych, światłem rozumu
Grzejmy i świećmy polski nasz lud;
Chociaż nagrodą szyderstwo tłumu,
Słodki nam będzie dla kraju trud.

Kiedy wolności słońce zaświeci,
Pewnie mogiła nas skryje już;
Z pracy swych ojców zbiorą plon dzieci,
Lecz my ujrzymy blask pierwszych zórz.

Bróg.



Z kolendą w Trzech Króli.

Nadszedł już dzień piękny — nadszedł już dzień Boży,
Matka Przenajświętsza niebiosa otworzy,
I zabrzmi z niebiosów chór anielskich głosów:
Hej, kolenda! kolenda!

Radujcie się ludzie, Bóg pod każdą strzechę
Chrystusową ręką zsyła dziś pociechę;
Chrystus łzy ociera, krzywdy z serc wybiera...
Hej, kolenda! kolenda!

Cieszcie się ubodzy, na niebiosów progu
Klęczy Przenajświętsza i dziękuje Bogu,
Że w dniu tym posiada — wszystko co mieć rada!
Hej, kolenda! kolenda!

Cóż Jej dusza pragnie? — Posiąść Bożą siłę,
Aby rozweselić mogła dziatki miłe!
O, Błogosławiona, weź nas w swe ramiona.
Hej, kolenda! kolenda!

Któryż od nas naród biedniejszy jest bardziej?
Gorszy od nas grzesznik — jeszcze nami gardzi...
Litości już żadnej — niema Bóg Wszechwładny.
Hej, kolenda! kolenda!

Smutna to kolenda, wyśpiewana nami,
A któż temu winien — jeśli nie my sami?
Szatan dusze zgnębił i serca wyziębił.
Hej, kolenda! kolenda!

A tam klęczy cicha przy Świętej Panience
Postać Matki Polski. — Załamała ręce
I w nasze sumienia spogląda wśród drżenia...
Hej, kolenda! kolenda!

A tam dalej stoją trzy nieme postacie,
Wiara, Miłość, Zgoda, trzy w żałobnej szacie,
W czarny szmat odziane — z serc naszych wygnane...
Hej, kolenda! kolenda!

Hej bracia, wypędźcie z swych domów szatana,
Przyzwijcie trzy siostry — a dusza owiana
Anielskiem ich tchnieniem — stanie się zbawieniem.
Hej, kolenda! kolenda!

Wiara, Miłość, Zgoda, co w złych sercach stygnie,
To Trójca anielska, co nas w niebo dźwignie,
Staniesz się potężny, ludu bezorężny.
Hej, kolenda! kolenda!

Wiernej dziatwie Polski, Bóg śpiewać dozwoli:
„Skończyła się chłosta stuletniej niedoli!
Wielbmy życia zorze w Narodzenie Boże".
Hej, kolenda! kolenda!

Wielki to Dzień będzie! Naród się odrodzi,
Przyjmcież do serc **Trójcę**! i starzy i młodzi,
Bóg wtedy pomaga, gdy czynem kto błaga...
Hej, kolenda! kolenda!

S. K.

WIGILIA.

Nadesłane na konkurs »Pracy«.

Wieczór wigilii Bożego Narodzenia powoli począł się spuszczać na morze pałaców i domów Warszawy. Tu i owdzie okna wystawne zabłysły już magicznem światłem lamp elektrycznych wabiąc tłumy elegancko ubranych pań, podlotków i gawiedzi ulicznej, która raz zdobywszy miejsce, nie łatwo dała się wyprzeć z pozycyi. I było się też czemu przyjrzeć. Oko od jednego przedmiotu chodziło do drugiego pojąc się czarującym blaskiem tysiącznych świecidełek i zabawek, a serca tych tłumów owładły uczucia dziwnej jakiejś i niewysłowionej radości i błogości, jaką tylko uczuwa się w uroczym dniu Wigilii. Wszak to dziś Gwiazdka! Ta myśl elektryzowała i młodych i starych, i bogaczów i chudopachołków, budząc życzenia, które atoli u niejednego życzeniami pozostały. Grube płatki śniegu coraz gęściej padały na domy, ulice i przechodniów obsypując wszystko i wszystkich brylantami, w których światło tysiącem migocących blasków się łamało, a chodzącemu dziś po ulicach zdawało się, że chodzi po komnatach zamku zaczarowanego, z których jedna przyciągała więcej od drugiej, jeden przedmiot lepszym i pożądańszym się wydawał od drugiego. Ulice tymczasem Marszałkowska, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i inne całym rzędem zabłysły rzęsistem światłem, zamieniając noc w dzień jasny a miastu nadawając urok nie do opisania. I było dobrze tym tłumom, które ciesząc się, gwiżdżąc i żartując falowały po ulicach, aby oko napoić tym ulicznym, tym ślicznym widokiem i ostatnie zrobić zakupy.

Przez tłumy te niezliczone szybkim, o ile było można, krokiem przesuwała się gustownie ubrana pani z małym koszyczkiem na ręku. Z rysów jej twarzy pięknych i inteligentnych, z ruchów żywych i sprężystych bił cały urok rozkwitłych wdzięków kobiecych czarujący mimowoli przechodnia. Bujny włos hebanowy, pospiechem wywabiony z pod kapelusika ciekawie wyglądał na świat Boży, jakby chciał się dowiedzieć przyczyny pospiechu swej pani i przyjrzeć się też wszystkim tym dziwom i pięknościom. Mantylkę obejmującą jej zgrabną kibić śnieg zupełnie już zbielił, tedy i owedy śmiał nawet siąść na długie rzęsy naszej nieznajomej, zwabiony widocznie temi dwoma światełkami, które blaskiem jasnym, acz troską jakąś zdaje się nieco przymglonym migotały. Szybko szła nasza nieznajoma, przystawając zaledwie tu i owdzie przed oknem wystawnem. Nareszcie otrząsnąwszy śnieg z mantylki i zgrabnym ruchem poprawiwszy włosy weszła do jednego z magazynów hojnie zaopatrzonego w zabawki gwiazdkowe. Z pospiechem, rzekłbyś oglądała tu jeden przedmiot po drugim, odkładała i znów brała, pragnąc odgadnąć, jakiby dzieciom lepiej przypadł do gustu. Dla nich bowiem przeznaczone były widocznie śliczna lalka z mrugającemi oczętami, ten pajac skaczący i krzyczący piskliwym głosem, skoro go się nacisnęło i wszystkie te zabawki, które zapłaciwszy włożyła starannie do koszyczka i wyszła. Nie rozglądając się już teraz wcale szybkim krokiem pospieszyła napowrót tą samą drogą, zboczyła wreszcie w jedną mniej ożywionych ulic i znikła w domie trzypiętrowym.

Mieszkał tu na drugiem piętrze znany z swej rzetelności i ogólnie szanowany dyrektor banku państwowego pan Zagórski i jego to żona, jak się łaskawy czytelnik łatwo domyśli, była nasza nieznajoma. Osmy już rok upływał Zagórskim w szczęśliwem ze wszech miar pożyciu małżeńskiem. Pobrawszy się z czystej miłości początkowo wprawdzie niejedną niekiedy musieli sobie odmówić przyjemność, gdyż Marya sierota po zmarłym przedwcześnie pułkownikowstwie Bielowskich, a wychowana u dalekiej krewnej matki, nic prawie małżonkowi nie wniosła, Zagórski zaś od trzech lat dopiero zawdzięczał obecne stanowisko wpływom tajnego radcy Sokolnikowa, przyjaciela nieboszczyka ojca swego. Miłość tymczasem, łącząca te dwie dusze, pomogła im cierpliwie znieść początkowy niedostatek i nietylko nic na tem nie ucierpiała, lecz owszem przeszedłszy próbę ogniową tem czystszą wypłynęła z tej toni i tem silniej ścieśniła węzeł małżeński. Pan Bóg pobłogosławił to stadło dobrane trojgiem milutkich dziatek, dwiema córeczkami, Bronią i Jadzią i chłopczykiem, któremu dano imie ojca Władysław. To też szczęśliwi byli teraz Zagórscy i o nic więcej Boga nie prosili, jak o zachowanie tego szczęścia na zawsze.

Wiadomo, że dzieci w gwiazdkę nadzwyczaj są wrażliwe na każdy chociaż najmniejszy szelest. To też mały Władzio i siostrzycki jego usłyszawszy skrzypienie drzwi i zoczywszy matkę wchodzącą hurmem rzuciły się do niej z kącika, gdzie dotąd cichuteńko siedząc opowiadały sobie o dzieciątku Jezus, o pasterzach, o gwiazdorze i o gwiazdce i o wszystkiem, co tak bardzo dziecięce serduszka w wigilią porusza. „Mamuś, mamuś, a widziała mama gwiazdora? A co mówił?“ krzyknął Władyś chwytając matkę za kolana i wlepiając w nią duże swe oczy pytająco. Jedno przez drugie zaczęły się teraz dzieci wypytywać, co gwiazdor mówił, co im przyniesie, czy mama powiedziała mu, że pacierz umieją i że zawsze Pana Jezuska i rodziców kochały! Matka każdemu z kolei dała odpowiedź najbardziej pożądaną, a uspokoiwszy wreszcie aniołków swoich, kazała służącej Basi nakryć stół do kolacyi; spodziewała się bowiem męża każdej chwili. Władysław od tygodnia smutny jakoś był i nieswój, raz nawet zdawało się Maryi, jakoby w nocy ciężko wzdychał. Pytała go się wprawdzie kilka razy o przyczynę smutku, lecz zawsze albo jej dawał wymijające odpowiedzi, albo milczał; (nie dając żadnej odpowiedzi). Dziś w Wigilią spodziewała się wszystkie te troski i chmury spędzić z jego czoła. Bo kiedyż, jeżeli nie dziś mogło jej się to udać, dziś kiedy Zbawiciel miał przyjść na świat aby rany goić i wszystkim przynieść ulgę i spokój! Raźno krzątała się koło stołu, stawiając talerze na siano, rozścielone staropolskim zwyczajem pod obrusem. Położyła też opłatki i marcepany a raz wraz spoglądała na zegar, pragnąc przyspieszyć tę chwilę, kiedy kochany jej Władysław przyjdzie i z nią i z dziećmi opłatkiem się podzieli. O! jak tęskno już jej było za Władysławem, tęskno zwłaszcza dziś w Wigilią, kiedy cały świat cieszył się i radował! Jak pragnęła znów jego pieszczot i żartów, których od tygodnia próżno wyczekiwała. Zapaliła świeczki przy żłóbku i zaczęła dzieciom opowiadać o gwiazdorze, którym miał być Władysław, skoro by przyszedł. Tymczasem wybiła dziewiąta na zegarze, a mąż wciąż jeszcze nie wracał, już i dziesiąta zbliżyła się, niepokój ogarnął ją, bo nie mogła przypuścić, aby gdzieindziej zabawiał się dziś, zwłaszcza, że jej przyrzekł stawić się jak najrychlej. Dzieci nie mogąc się doczekać gwiazdora posnęły w kąciku i cicho, głucho zrobiło się w pokoju, tylko zegar na ścianie monotonnie dalej tykotał. Nareszcie o jedenastej dały się słyszeć kroki na schodach. Marya, chociaż początkowo dąsać się chciała na męża, dlatego że popsuł jej dziś całą uciechę, zapomniawszy o wszystkiem pobiegła drzwi otworzyć, lecz cofnęła się natychmiast, gdy zamiast Władysława ujrzała w progu — żandarma. Zimny dreszcz przeszedł jej ciało. Czyby jej Władysław...., lecz nie, odpędziła natychmiast podejrzenie a wziąwszy na pomoc całą swoją energią, spytała się żandarma, coby sobie życzył o tak późnej porze. Żandarm wachał się; lecz przynaglony wreszcie w delikatnych słowach powiada, że szuka jej męża, którego posądzają o kradzież przeszło pół miliona rubli. Wszystkiego innego spodziewała się młoda kobieta, lecz — mąż jej złodziejem, jej Władysław przeniewiercą — to było nad jej siły. Głuchy jęk wydobył się z piersi falującej, ręce rozłożyła, jakby chciała się czego uchwycić i padła na ziemię. Żandarm pomógł krzyczącej Basi złożyć zemdloną na kanapę, a przekonawszy się, że Zagórskiego próżno tu szukać, oddalił się. Dzieci tymczasem zbudzone krzykiem Basi wprzedpokoju rozumiejąc, że to gwiazdor idzie, poklękły czemprędzej do pacierza. „Ojcze nasz“, szeptały niewinne usta dziecięce »zbaw nas ode złego! Swięto Maryo, módl się za nami!« Na zegarze wybiła dwunasta. Dzwony na wszystkich kościołach odezwały się, zwiastując ludziom przyjście Zbawiciela na świat a z tysiąca piersi wyrwał się pod niebiosy radośny hymn: »Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.«

W Bielanach blisko Warszawy rozpoczęła się u Kamedułów pasterka. Ojciec Ambroży stanął przy ołtarzu, raźno zagrały organy i radosna nuta pieśni „Anioł pasterzom mówił« popłynęła ku niebu. — Lecz jakiż to mężczyzna zbliżył się do klasztoru? Może spóźnił się na pasterkę? Na dworze zimno, lecz on raz wraz ściera sobie pot z gorącego czoła, przytem rozgląda się lękliwie na wszystkie strony, jakby się czegoś obawiał. Przypadł wreszcie do bramy klasztoru, lecz nie wszedł, tylko czoło przyłożył do zimnych drzwi i nadsłuchiwał. Ksiądz powoli i dobitnie zaśpiewał „gloria“ na śliczną nutę przepisaną na Boże Narodzenie, a „gloria, gloria, gloria in excelsis Deo“, odezwało się trzykrotnem echem w sercach nabożnych. Przyklęknął ów nieznajomy i pilnie zda-

wał się wsłuchiwać w ten wspaniały hymn za serce chwytający, raz wraz westchnął głęboko i znów pilnie nadsłuchiwał. Wszedł ojciec Hilary na ambonę i w podniosłych słowach przemówił do słuchaczów na temat: „Chwała Bogu na wysokości a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“. Kaznodzieja mówił o Jezusie urodzonym dziś w ubogiej stajence, o Maryi, matce jego, która jest zarazem matką wszystkich strapionych, mówił o czystości sumienia i o nawróceniu grzeszników, a tak czule przemówił, że wszystkich do łez poruszył. Nasz nieznajomy wysłuchawszy kazania do końca, porwał się ze ziemi i schwycił się za czoło i znów począł uciekać ile mu sił starczyło. — I biegł tak wciąż, przystanął chwilkę i znów biegł, aż w końcu zginął w dali.

Był to Zagórski. I cóż go do tej nędzy doprowadziło? Z namowy przyjaciół zaczął grywać przy zielonym stoliku w karty od kilku tygodni. Szczęście mu z początku sprzyjało, więc grał bez namysłu, coraz wyżej stawiał, aż w końcu, gdy przegrał na prędce pożyczone pieniądze, targnął się na kasę sobie powierzoną, pocieszając się tem, że wygra i wszystko wróci.

Lecz szczęście i w tym razie nie dopisało, przegrał wszystko, zatrzymując z pół miliona zaledwie tysiąc rubli. Żal niemy chwycił go za serce, żal, że dzieci wtrącił w nieszczęście, żal, że splamił swój czysty dotąd jak łza honor obywatelski. Lecz już było za późno! Dziś wieczorem miała być rewizya, a wtedy? — o! ja nieszczęśliwy jęknął. Rozpacz czarna ogarnęła go, postanowił odebrać sobie życie! Kupił rewolwer i wybrał się do lasu, bo wstyd go było popełnić tę zbrodnią przed ludźmi. W lesie już miał sobie strzelić w skroń, już w duchu żegnał się z żoną i dziećmi, gdy wodząc błędnem okiem na okół zobaczył światło bijące z okien klasztoru Bielańskiego.

„Toć to dziś wigilia, to pasterka się odprawia“ pomyślał, a gdy podszedł bliżej, gdy usłyszał gorące słowa kaznodzieji o sumieniu i do sumienia przemawiające, gdy te piękne polskie pieśni nasze odbijały się o uszy jego, gdy wspomniał na wieczność, zadrżał, rzewne łzy pociekły mu po licach, rzucił precz od siebie zabójczą broń i — był uratowany. Ale postanowił uciec precz od ludzi, uciec przed żoną i dziećmi, tam gdzie go oczy poniosą. Szukać chciał w świecie tego pokoju, o którym ojciec Hilary w swem kazaniu prawił. Odtąd zginął Zagórski bez śladu. Jedni powiadali, że się utopił, inni, że uciekł do Ameryki. Gazety rozniosły sensacyjną wiadomość o kradzieży, kilka dni mówiono o tej sprawie, żałowano biednej wdowy i dzieci i — zapomniano wkrótce.

Upłynęło dziesięć lat od owego dnia, w którym szczęście familijne Zagórskich w tak tragiczny sposób zostało zniweczone. Marya po owej strasznej chwili, utraciwszy z winy męża nietylko szczęście, ale i wszelkie utrzymanie, musiała się z dziećmi z dotychczasowego pomieszkania wyprowadzić na poddasze. Ciężko jej było wyżywić troje dzieci, boć „biada jest każdemu człowiekowi samotnemu, lecz stokroć samotnej kobiecie“. Siedziała więc całemi dniami i nocami nieomal przy ręcznych robótkach, ażeby zarobić na niezbędne chociaż wyżywienie. Od ciągłej pracy i płaczu nieustannego oczy jej głęboko zapadły, a lica piękne kiedyś zwiędły przed czasem. Powoli jednak i te rany głębokie zabliźnił czas, najlepszy lekarz. Bronia i Wanda w tych dziesięciu latach wyrosły na hoże dziewice, budzące nietylko podziw pięknością nadzwyczajną, lecz przedewszystkiem szlachetnemi zaletami serca przez matkę wypielęgnowanemi. Niemałą były one już teraz pomocą dla matki. Dobrobyt o tyle u nich zawitał, że nie potrzebowali się kłopotać o jutro. Władzio od roku znajdował się w seminaryum duchownem, pragnąc się poświęcić Bogu, zmazać winę ojca. Zawdzięczał on swoje wykształcenie ofiarności pewnego dobrodzieja. Byłoby już wszystko dobrze, gdyby nie myśl o hańbiącej winie Zagórskiego. Na samo wspomnienie o niej bolesne struny odzywały się w sercu matki i dzieci, a rany zabliźnione otwarzały. Wigilia, która była dla innych ludzi dniem wesela i szczęścia, — Zagórskim przynosiła smutek i żałobę. Lata szybko mijają, po raz dziesiąty po owej katastrofie zawitał dziś dzień Wigilii Bożego Narodzenia. Pani Zagórska w tym czasie po raz pierwszy oświadczyła dziś chęć pójścia na pasterkę do Bielan. — Dzieci przyklasnęły myśli matczynej i niebawem wyruszyli wszyscy w drogę. Wieczór był piękny. Miliony gwiazd jakoby tyleż ocząt anielskich mrugały na przechodniów. Spokojem tchnęły te pola i drogi białym całunem przykryte, te drzewa przydrożne gołe i nagie, cała przyroda oddychała snem spokojnym. — Nie żałowali Zagórscy, że się dziś wybrali do Bielan.

Blizko już byli, gdy spotkali się z samotnym wędrowcem, który też zdążał zdaje się na pasterkę, lecz nie ze stolicy, tylko ze strony zachodniej. Ów wędrowiec już chciał minąć Zagórskich, w tem usłyszał Maryę wołającą Władysława i Jadzię po imieniu, ponieważ byli się nieco oddalili. Przystanął, spojrzał bystro i — »Maryo« krzyknął, padając przed nią na kolana, „żono, dzieci, wybaczcie! Czyż mię nie poznajecie? Jam to jest, wasz niegodny ojciec jam wasz krzywdziciel!“ I zaszlochał z wzruszenia i żalu wielkiego i szczęścia. Któż zdołałby opisać radość tych szczęśliwych! Zapomniane były wszystkie łzy i cierpienia, wszystkie smutki i troski. Znów dzwony zwiastowały przyjście Zbawiciela a z Jego przyjściem wesele i radość, lecz nikomu nie zwiastowały większej radości, jak Zagórskim. Ksiądz wyszedł ze mszą św., organy zagrały a aniołowie i ziemianie śpiewali hymn radosny: »Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!«...

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć kilka słów o tułactwie Zagórskiego. Owej pamiętnej nocy, kiedy łaska Boska dźwignęła go z tej przepaści bezdennej, z której nie widział wyjścia, biegł w ciągłej obawie przed pogonią przez pola, knieje i lasy. Kilka dni stronił zupełnie od ludzi, i w ostatniej tylko potrzebie ważył się wejść do wioski, aby kupić sobie trochę żywności i znów szedł dalej na zachód. Udało mu się przedostać przez granicę do Prus, gdzie wykupił bilet do Hawru. W Hawrze wsiadł na okręt i pojechał do Ameryki. Setkami wtedy ludzie płynęli z Europy do Kalifornii, owego kraju złotodajnego, pragnąc w jednej chwili zbogacić się i ze zdobytemi milionami wrócić znów do kraju rodzinnego. Zagórski zapoznawszy się z kompanią ludzi, wychodzących do Ameryki dla złota, przyłączył się do nich. Jedyny w tem widział sposób zbogacenia się i naprawienia szkody wyrządzonej bankowi. Zaopatrzył się więc za resztę pieniędzy w odpowiednie sprzęty i zaczął kopać złoto. Nie sprzyjało mu szczęście w pierwszych latach, siły go czasami zupełnie opuszczały z wycieńczenia, ale rozpaczy i złym myślom nie dał się opanować. Lata upływały, tedy i owedy znalazł wprawdzie znaczniejszą bryłę złota, lecz utrzymanie i choroby zjadły grosz zaoszczędzony. Tęsknota przytem za krajem i familią chwyciła go za serce, lecz jak tu wracać, nie naprawiwszy złego. Najbardziej troszczył się o familię: pisał dwa razy do żony, błagając o przebaczenie, tymczasem listy albo nie doszły, albo żona nie wybaczyła mu ciężkiej krzywdy. »Nigdy już nie ujrzę, pomyślał, nigdy nie uścisnę drogich dzieci, kości w obcej spruchnieją ziemi«.

Pan Bóg chciał inaczej.

Pewnego razu kopiąc w miejscu przez innych już opuszczonem, wydobył nasz Władysław całe gniazdo brył złota. Oko jego zaświeciło żywiej, serce gwałtownie zapukało z radości i padł na kolana dziękując Bogu, że raczył kres położyć wszystkiej jego biedzie. Spieniężył natychmiast złoto znalezione i wysłał pół miliona rubli wraz z procentem do banku, a z pozostałą sumą, dość jeszcze znaczną, aby zapewnić rodzinie byt bez troski, postanowił wrócić do Warszawy, odnaleść drogie sercu osoby i osiąść w jednem z mniejszych miasteczek drogiej ojczyzny.

Jak pomyślał, tak zrobił. Pan Bóg znać przyjął ciężką pokutę dziesięcioletnią i przebaczył mu, bo widzieliśmy, że pozwolił mu wrócić, odnaleść familią i pozyskać przebaczenie, tam właśnie, gdzie kula przed 10 laty miała położyć kres zhańbionemu życiu jego. Szczęście prawdziwe zakwitło znów u Zagórskich, którzy co rok w pamiętny dzień Wigilii Bożego Narodzenia wybierali się do Bielan na pasterkę. *Ks. G.*

TYLE!!

Tyle u nas do orania,
Tyle do zasiania,
A my o tem nie myślimy —
Lecz swobodnie się bawimy,
Nie chwytamy chwil jak trzeba,
Więc chwastami rośnie gleba,
Pełno ostów — i bodiaków...
Wśród ojczyzny jest Polaków!

Tyle u nas do roboty,
Na świt szczęścia złoty,
A my sobie, tylko sobie,
Pragniem chleba w każdej dobie,
Tylko sobie ścielim drogę,

Choć skaleczym komu nogę,
Więc do świtu wciąż daleko,
I wciąż Polsce krew, łzy cieką.
Tyle u nas do budowy,
Na dom sławy nowy,
Ale mało kto pamięta,
Że powinność to jest święta,
Zasługą i poświęceniem
Stać się Polsce wybawieniem,
By kraj dźwignąć, trzeba siły,
Trzeba cnoty, bracie miły!
Tyle u nas do plewienia,
Tyle do leczenia,
A my z wad się nie leczymy,
Chwastów szpetnych nie tępimy
I myślimy, że kochamy
Polskę naszą — oj nie damy
Szczęścia dla niej — sławy, blasku
Gdy żyć będziem w prochu, piasku,....
Tyle u nas do orania,
Do plewienia i do siania,
Tyle u nas do budowy
Na gmach cnoty kryształowy,
Więc do pracy, czas mknie żywo
A kraj czeka już na żniwo!

3. 1. 99. *Jadwiga.*

DZIŚ.

„Nie troszczmy się o niepowróconem „wczora", ani o nieodgadnionem „jutro", używajmy **obecnej chwili,** czyniąc sami wedle wiary mocnej, nadziei pewnej, miłości doskonałej." *Zan.*

— Po co to wszystko, na co?.. mówił Zdzisław z rozognioną twarzą — wzrokiem jaśniejącym zapałem.. jak możesz pytać? jak możesz mieć choć rdzę niewiary w sercu?..

A Stefan blady — spokojny zbliżył się ku niemu - wskazał na niebo płonące blaskami zachodzącego słońca — potem na szare — mgliste chmury rozsnute w około i rzekł łagodnym głosem:

— To niebo jasne — złocisto-krwawe, to **wczoraj** — te chmury ciemne w około to nieznane **jutro,** a **dziś** — noc.

— Noc? D z i ś to życie, d z i ś praca, d z i ś trud, siejba na przyszłość — w skorupie nędznego »**dziś**« leży potężny olbrzym **jutro** rozumiesz?..

Stefan milczał. Patrzył ponuro w dal. Słońce kryło się coraz bardziej. W dali wrzało i kipiało miasto swoim wirem, ruchem — pędem, szumem i gwarem. Koledzy — przyjaciele stali długą chwilę w milczeniu. Wreszcie Stefan rzekł:

— I jam wierzył w „d z i s i a j« jak ty, ale niestety przekonałem się, iż marzenia nasze okrywają tylko łachmany — nędzotę. Tu jest próżnia, bezduszność — samolubstwo i bezprawie. Cóż można zrobić? Co?

— Iść — pracować — trwać i wierzyć.

— Ty — jako nauczyciel możesz to robić, masz pole, masz niwę wielką, masz ziarna do rzucania dość w głębi serca. Ja — nie mogę.

— A ja ci mówię, każdy może i powinien pracować **dzisiaj,** bo ani wątpić, ani z goryczą z pola pracy ustępować, ani bezczynnie stać nie wolno.

— Ale powiedz mi co ja mam robić d z i ś? co?.. Okuty niewolą pracy biurowej, wracam do domu zmęczony. Życie towarzyskie mię nuży i nudzi — w jednym kole form i etykiety tam się ludzie kręcą. Z kolegami także nie ma co robić. U nich gra — karty — hulanki — śniadania — plotki, a w końcu wielka ziewająca nuda. Gdzież mam znaleść tę pracę na »dzisiaj«?..

— Chodź ze mną — poświęć mi godzinę czasu — więcej nic od ciebie nie będę żądać, odpowiedział Zdzisław już nieco spokojniej.. podał rękę przyjacielowi i poczęli z góry schodzić dość spiesznie.

Wisła srebrzyła się w mroku nocy piękną szatą fali płynącej spokojnie — Wawelu szczyty rysowały się w dali jakby w mgle marzeń żałośnych... a ziemia czarna, smutna, bezkwietna i bezlistna ścieliła się przed nimi szeroko.

Weszli w ulicę przedmieścia. Przed rynkiem stała gromadka murarzy, którzy niedawno odłożyli kielnie i młoty, a teraz wracają do domu. Wyszli z szynku w pół piani — żarty ich obrażają uszy — ton głosu, ruchy — wszystko robi wrażenie nie miłe, a nawet odpychające.

Jakieś dziewczę nędznie odziane, bose, zbliża się tu nieśmiało i szepce do murarza:

— Ojcze!.. chodźcie do domu... matuś chora!.. chodźcie!..

— Dasz ty mi spokój? po co będę szedł!.. dość tam miałem tych jęków i beków.

— Ha! ha!.. trzeba ci było żenić się?.. dzieci kupa — baba chora... ha! ha!... wesołe życie! śmieją się koledzy...

Jeden z młodych robotników woła głośno:

— Chodźmy na kręgle!

— Jeszcze po kieliszku napijmy się!..

— Człowiek tyle ma co wypije — i tak nie dorobię się niczego!..

— Ojcze!.. matula bardzo chora — szepce dziewcze z płaczem.

Ojciec kopnął ją nogą — poszedł do szynku.

Dziewczę zatoczyło się i padło na ziemię. Koledzy odeszli spiesznie dalej.

Przed nimi szła spiesznie jakaś młoda, ciemno ubrana panienka, widać z pracowni wracała do domu. Za nią dużymi krokami szli dwaj gogowie.

Panienko! szepce jeden, wysoki i cienki jak tyczka, prosimy na szklankę piwa.

Taka ładna panna, a taka zimna jak mróz, mówi drugi.. i próbuje dziewczę pogłaskać po twarzy.

Panienka stanęła — spojrzała na napastników z wzgardą, mówiąc:

Czy wy nie umiecie nic i nikogo uszanować? Gogowie niezrażeni przymilają się — zaczepiają aż dziewczę musi się ukryć w jakimś składzie.

Stefan z Zdzisławem idą dalej.

Przy stoliku przekupki krzyk i wrzask piekielny. Chłopak od stolarza ukradł bułkę zbili go. Tam żona z jękiem wybiegła na ulicę, mąż ją z chaty wygania.

Stefan spieszy się co sił... słabo mu się robi z tych wrażeń.

Zdzisław żegna go w progu mieszkania i mówi! — Widziałeś „**dziś**"? Trzeba w niem znaleść dla ciebie pole i p r a c o w a ć!!..

Stefan wraca do domu chmurny i ponury..

— Czego Zdzisław chce odemnie? czego?... jak ja tu mogę pracować? co ja zrobię wśród tych pianych? wśród tych zbydlęconych namiętnościami? wśród tych, którzy kradną, biją?.. Co tam robić?.. W c z o r a j miało wytknięte cele i pola do pracy — szły walki orężne, szły boje krwawe — szły trudy i ofiary dla narodu. Ale dziś — w obecnych warunkach pracy nie ma Każdy dla siebie — to dość. Idzie dalej — smutny, bo go zwątpienie przyciska ciężarem — gniecie bezlitośnie. Ale darmo, on nie może nic zmienić. Za dużo, za wiele przebolał w życiu, aby jeszcze mógł wierzyć, wszystko kłamie, wszystko zawodzi, wszystko liche i podłe.

Zbliża się ku domowi, gdy w tem staje. Jakiś dziwnie dźwięczny i miły głos uderza o jego uszy.

Z podwórza bliskiego domu słyszy wyraźnie jak ktoś mówi łagodnie:

— Dziś już więcej wam opowiadać nie będę, bo już ciemno, trzeba wracać wam do domu, ale jutro dłużej posiedzimy.

Na to kilka głosów woła żywo:

— Jeszcze trochę panienko! jeno trochę!.. jeszcze żal nam odejść!..

— Więc lubicie się uczyć?

— O bardzo!... mybyśmy całą noc siedzieli przy nauce, ani by się spać nie chciało.

Stefan się zbliża — nadsłuchuje — miły głos dziewczęcy znów słychać.

Stefan wspina się, podnosi, patrzy przez parkan. W zmroku nocy widzi gromadkę urwiszów z ulicy zebraną, skupioną w około dziewczynki może 16 — 17 letniej, która im opowiada.

— Otóż ten biedny Jaś sierota, po pracy całodziennej wieczorem nie próżnował, uczył się, czytał sam i czytał drugim, bo tak mu ksiądz mówił zawsze: trzeba pracować »dziś«, aby „jutro" było spokojne i nie głodne. —

Stefan... drgnął, słucha uważnie.

Dziewczynka opowiada historyę o Jasiu biednym, który uczył drugich — zrobił on wiele dobrego, a gdy potem Sobieski musiał jechać do Wiednia, Jaś przyprowadził całe grono towarzyszy jako żołnierzy do walki z pohańcami.

Z okna kamienicy światło błysło — Stefan obaczył wyraźniej i tę gromadkę chłopaków brudnych, nieuczesanych, obdartych, tę panienkę wśród nich jasną, smukłą — piękną jak zorza.

Gdy wrócił do domu był niespokojny — smutny, a długo w noc chodził po pokoju i rozmyślał wiele.

* * *

Przeszedł rok.

Stefan jest u państwa Jarzębskich wieczorem jak zwykle i rozmawia z Zosią poważnie.

Bywa tu od pół roku, bo poznał tę piękną i miłą nauczycielkę chłopców terminatorskich i jak powiada także od niej lekcye bierze.

Ona go też uczy mówiąc:

— Kto może unieść wielki kamień, niech go niesie, ale kto może udźwigać tylko jedną cegłę, niech ją poda, tylko rychło. Kto może zorać i zasiać wielki łan, niech sieje i orze, a kto może jedną małą grzędę kwiatami zasiać, niech to robi ale zaraz...

A Stefan też odpowiada z serdecznym uśmiechem:

— Muszę się więc pochwalić, iż jedną cegiełkę przyniosłem Syn naszego stró-

ża już umie czytać. W trzy miesiące nauczył się wcale dobrze.

— I nic mi pan o tem pierwej nie mówił, — że go pan uczy? — Ładnie to tak?

— Zabrałem się do tej roboty z nieufnością — więc nie mówiłem nic, bo zdawało mi się tak nędzną rzeczą dla mnie — uczyć — a — b — c — iż prawie wstydziłem się tego! A teraz?

— O!.. panno Zosiu!.. przy — a — b — c — dużo się robi — gdy nie woła Sobieski pod Wiedeń, gdy Kościuszko do Racławic nie prowadzi, dobrze chociaż zaniedbane dzieci wieść do nauki. Pani mię swoją pracą zawstydziła, pani mię nauczyła pracować »dziś«!

* * *

W rok potem u państwa Stefanów było wielkie zebranie. Wszyscy uczniowie pani Zofii przybyli do młodego państwa na egzamin. Jest też i Zdzisław, który na tę gromadkę już przecie starannie wyczesaną patrzy z uczuciem wielkiej radości

Egzamin wypadł świetnie. Chłopcy dostali nagrody i teraz zasiedli do stołu na kolacyą.

Pani domu, piękna i miła pani Stefanowa, rozdaje chłopcom obwarzanki i jabłka, a Zdzisław stojąc w drzwiach pyta przyjaciela:

— Więc już nie powiesz, iż „dziś“ to noc? —

— O druhu najmilszy, — odpowiada Stefan żywo, ściskając dłoń Zdzisława — „d z i ś“, jest piękne i bogate, ale dla tych, którzy umieją znaleźć w niem dla siebie pole do pracy.

„Dziś“, to cicha — mrówcza, spokojna, lecz wytrwała praca nad oświatą... Będzie inne „jutro«, gdy te dzieci będą nasze, —

A chłopcy przy stole śpiewają chórem:

»Choćbyś się Moskalu
Postawił na głowie,
Będziemy mieć Polskę,
Jak nasi ojcowie!«

4. 1. 99. *Bogusław.*

W sprawie Teatru polskiego w Poznaniu,

odebraliśmy od p. W. Koryzny pismo następujące, które z powodu nawału materyału świątecznego i noworocznego dziś dopiero zamieszczamy:

„Do Szanownej Redakcyi »P R A C Y«
w miejscu.

W zamieszczonej w nr. 49 „Pracy“ z dnia 4 grudnia br. ocenie mojej pracy o »Teatrze polskim w Poznaniu“ nadmienia między innemi szanowny autor tej oceny:

że śp. Dobrowolski zużywał na potrzeby sceny poznańskiej »rocznej subwencyi po kilkanaście tysięcy marek«;

że »miał do usług pismo, do którego codziennie obfite wpływały subwencye«;

że »bezpłatnie od autorów dostawał sztuki do przedstawienia«;

że z 6000 marek rocznej subwencyi, jaką pobiera od „Pomocy« obecny kierownik sceny poznańskiej „połowa powraca zkąd przyszła, w trojaczkach dodatkowych«.

W interesie należytego ocenienia warunków rozwoju i bytu naszej sceny poznańskiej objaśniam:

po pierwsze, że zestawienie składanych na walnych zebraniach i w dziennikach ogłaszanych obrachunków naszej Spółki teatralnej — wykazuje, że na potrzeby sceny pod kierunkiem śp. Dobrowolskiego wynosiła subwencya roczna w przecięciu po 5344 marek;

po drugie, że składek zbieranych w „Dzienniku Pozn.“ nie zużywał śp. Dobrowolski b e z p o ś r e d n i o na potrzeby sceny, lecz wnosił je do ogólnej kasy Spółki teatralnej, w której ogólnym przychodzie one też są wykazane;

po trzecie, że przy objęciu kierownictwa sceny uzyskał wprawdzie śp. Dobrowolski od niektórych autorów polskich, jak Bałuckiego, śp Blizińskiego, A. hr. Fredry syna, Lubowskiego, Zalewskiego i innych — pozwolenie na bezpłatne odgrywanie ich sztuk na scenie poznańskiej (z którego to pozwolenia korzysta i obecny kierownik teatru przy wznawianiu starszych sztuk oryginalnych), — atoli w późniejszych i ostatnich latach opłacał honorarya i tantyemy także wielu autorom polskim, jak między innymi Bałuckiemu, śp. Blizińskiemu, Graybnerowi, Z. Przybylskiemu, śp. Ruszkowskiemu, Z. Sarneckiemu, A. Walewskiemu, M. Wołowskiemu, spadkobiercom autora »Kościuszko pod Racławicami«, autorowi »Kilińskiego«, autorowi „Kraju“;

po czwarte, że dopłatę pobieraną do biletów teatralnych w formie tak zwanych „groszy dodatkowych“ — przelewali do kasy Spółki teatralnej także wszyscy dawniejsi przedsiębiorcy teatralni począwszy od śp. Doroszyńskiego — i że dochód, jaki wpływa od publiczności w formie „groszy dodatkowych“ obraca Spółka teatralna na potrzeby utrzymania budynku teatralnego i na ulepszenia, jak np. świeżo na urządzenie do oświetlenia elektrycznego, zaś z subwencyą dla przedsiębiorcy sceny nie ma ten dochód nic wspólnego.

P o z n a ń, 6 grudnia 1898.

Z poważaniem
W. Koryzna“.

POLSKO!!

Polsko ma droga!..świat woła, że giniesz,
Bo życia w tobie niema już dziś wiele,
Bo się w krwi fali, morzu łez rozpływiesz,
A śmierci kosa już tkwi w Twojem ciele.
Że już nie wróci nigdy Twa potęga,
I szczęście dawne na nowo nie błyśnie —
Huzarskich skrzydeł nie wznowi siermięga
I »złotych czasów« zdrój już nie wytryśnie.

Polsko ma droga!... ah! ileż to razy
Ty wyrok śmierci głoszony — słyszałaś!.....
Pogrzebu Twego, ah! jakież obrazy
Miałaś przed okiem i na nie patrzałaś?
Mówiono Tobie — że wszystko skończone —
Życia nie wróci żadna ludzka siła....
Po Tobie tylko przeszłość pozostała,
Karta historyi i — — wielka mogiła!

A przecież Polsko! żyjesz i nie zginiesz,
W krwi nie utoniesz, w łzach się nie rozpłyniesz —
Huzarskich skrzydeł nie wdziewasz do boju,
Bo walczysz mężnie w twardej pracy znoju —
Siermięgą chlubisz się — . . . .
Na silnych barkach przyszłość swą opierasz...
Dziś lud poznaje, iż jest Twoim synem,
I Ty dlatego żyjesz — nie umierasz!

O Polsko droga!... choć cierpisz okrutnie,
Choć Cię tak srogo depcą stopy cara,
Choć tak dziś w Tobie żałobno i smutnie,
Przecież w świt słońca nie zagasa wiara;
Miliony pługów na Twą przyszłość orze,
Miliony młotów Twą potęgę kują,
I szkód tysiące rozświecą Twe zorze
I serc miliony Twe szczęście wysnują,
Bo da Bóg wielki — że cnota zwycięży
I sprawiedliwość wzniesie sztandar śmiało....
Młoty i pługi zwalczą las oręży,
I będzie lepiej jak dawniej bywało!

3. 1. 99 r. *Jadwiga Strokowa.*

Daremne zakusy.

Największy XVIII wieku myśliciel, Voltaire, chociaż wogóle niezbyt nam przychylny, a powiedział że my, Polacy podobniśmy do trzciny, która się po burzy znów podnosi i żyje.

A zaiste, wiele w tych słowach prawdy. Często przecie nazbyt wymowne składaliśmy dowody niespożytych zasobów tej siły żywotnej. Kiedy inne pokrewne nam szczepy padały ztratowane germańskiem lub mongolskiem kopytem, myśmy się zawsze jakoś umieli dźwignąć po klęskach a nawet z moralnego upadku.

Przecie nawet w epoce politycznej niezależności takie już bywały chwile, że niwę naszą bardziej niż dziś obce porastały chwasty. W naszych własnych progach tak się już wpływ niemczyzny rozpanoszył, że wprost zupełna ztąd groziła zagłada swojskim obyczajom i ojczystemu językowi. A jednak, na szczęście, jak Czesi, który się dopiero za naszych czasów zdołali ocknąć i z pnia ludowego odrodzić, tak i myśmy wtedy umieli się otrząsnąć z tych obcych naleciałości.

Zjawisko to w dziejach naszych znamienne i tembardziej uderza, że ówczesnym ludom wogóle obcą była idea narodowa, nie znały jeszcze tego hasła, które świat dopiero za czasów Napoleona po raz pierwszy usłyszał. A przy braku tej świadomości narodowej byliśmy w dodatku i politycznie osłabieni podziałem na drobne państewka (jak dzisiejsze Niemcy), ocalenie więc nie pięści, ale raczej wrodzonej odporności ducha zawdzięczamy.

Chociaż granicami rozdzieleni, byliśmy wszelako jednym narodem, jak dziś. A ten naród potem w jedno polityczne złączony ciało, umiał też i żelazo najezdników zwycięzko odpierać. Zarówno krzyżackie i szweckie jak tureckie i tatarskie ostrza, nieraz się na naszych karkach tępiły; i chociaż nieuchronna niby groziła nam zguba, jeknak zawsze po każdym zamachu znów jak owa trzcina podnosiliśmy głowy. Poeta więc prawdę wyśpiewał w hymnie:

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały
Coś ją zasłaniał tarczą swej opieki“,

bo ile razy nieszczęścia przywalić nas miały, zjawiał się wtedy niby duch Opatrzności jakiś Chrobry czy Jagiełło lub Kordecki i z ostatniej ratował toni.

Późniejsze dzieje w wyższym jeszcze stopniu stwierdzają zdanie wielkiego Francuza. Bo ileż to od jego czasu szalonych burz nad nami przeciągnęło, ileż moskiewskich i germańskich piorunów na głowy nasze spadło i wciąż jeszcze spada; a przecież, mimo wszelkie wysiłki dzikich Murawiewów, Apuchtinów i Hurków albo Hakatystów — dziś życie polskie silniej pulsuje niż dawniej, niż np. przed pierwszym rozbiorem: bo jak się przez ogień złoto czyści a żelazo hartuje, tak męczeństwo podnosi i uszlachetnia ducha.

Wszak znów, jak niegdyś, kordonamiśmy niby rozdzieleni, a któż zaprzeczy, że już ze świadomością stanowimy jedną wspólną rodzinę, wspólną myślą, wspólnemi żyjącą ideałami, razem cierpiącą i do wspólnego dążącą celu, bo choć wydarto nam ziemię, ale żadna siła nie zdolna nam ujarzmić serc — tam już wróg nie sięgnie. Mimo więc różnicy obowiązków politycznych jakie brutalnie trzem dzielnicom narzucono, a które my z heroizmem spełniamy; mimo tej całej naszej lojalności wobec odnośnych rządów; mimo różnicy wpływu innych systemów i praw, innych szkół i urzędowego języka; mimo nawet że nieraz brata przeciw bratu stawiają — nic jednak w ciągu tych 100 lat terytoryalnego rozdziału nie zdołało nam z piersi wyrwać a choćby tylko osłabić poczucia tej jedności plemiennej i wspólnych interesów i cierpień, ani też zagasić gwiazdy wspólnych nadziei, lecz owszem wciąż się wzmaga wiara w konieczne zwycięztwo prawdy i sprawiedliwości. Czasem wprawdzie zgrzytnie gdzieś jakiś rozłam pojęć, ale są to drobne tylko plamki wobec niezaprzeczonego faktu, że jak daleko język Sobieskich, Kościuszków, Mickiewiczów sięga — tak daleko wszędzie, we wszystkich sercach polskich ten sam powiewa sztandar.

Słowem, choż upadła dawna Rzeczpospolita polska, choć ją brutalna przemoc wymazała z rzędu państw, to jednak ze wszystkich dawnych jej zakątków wierne jej syny wołają chórem i z całej piersi: Jesteśmy! bo choć rozdarliście nam ziemię naszą, ale żadna przemoc ani serc naszych ani naszej myśli rozdzielić nie zdoła. Biały w Wielkopolpolskiej dzielnicy zrodzony orzeł, szeroko opiekuńcze roztoczył skrzydła i z Pogonią i Archaniołem wciąż na straży stoi.

Próżne więc zakusy wroga. Wszak chciano nas w niwecz obrócić, a oto trumna Rzeczypospolitej zamienia się w kolebkę narodu. Siano chwasty zdrady, a oto z tego posiewu na politycznym grobie naszym wyrasta kwiat życia, kwiat plenny i trwały, i urąga bezsilnym. A jeżeli nawet ugnie się czasem pod ich nawałą, wnet jak owa trzcina, powstaje i znów swą cierniową, okrwawioną koronę w niebo wznosi i cierpliwie wschodu słońca czeka, czeka na upamiętanie pijanych złością brutalnych napastników, świętokradzką wyciągających rękę, by zburzyć to, co zbudował Duch Boży.

Więc skutek wprost przeciwny, bo właśnie dzięki takim Hurkom lub Bismarkom i całej zgrai duchowego ich potomstwa, serce polskie coraz silniej bije. Nie przekleństwo więc, ale wdzięczność im się należy, bo dziś już w boju zahartowani, zwycięzko nowe wytrzymamy próby. Narodowe nasze stanowisko zbyt już ustalone, abyśmy się o nie lękać musieli. Nawet cały tłum tych Donkiszotów nie zdoła nas z niego zepchnąć i po za nawias europejskich lub ogólno ludzkich interesów wyrzucić, bo to nie z dziką hordą sprawa. To naród liczny i plenny, a tradycyi swych zasług, swych praw i celów świadomy; naród ideałami wolności, prawdy i miłości chrześcijańskiej wykarmiony; naród, który wyrósł „nie z soli ani z roli, ale z tego co boli“; naród obrońca cywilizacyi i uciśnionych, który tyle razy drogą krew przelewał „za naszą i waszą wolność“; naród, któremu jeszcze wczoraj nawet sami Niemcy kwiaty pod nogi słali; naród wreszcie, bogatą mający literaturę i sztukę — a taki naród spokojnie już może w przyszłość patrzeć, pewny że — dłużej klasztora niźli przeora. Ni żaden bagnet ni ukazy go nie zniszczą. Szalony kto tak sądzi. Bo choćby nawet jakaś nadzwyczajna burza pomogła mu w tem dziele zniszczenia, to i wtedy jeszcze zwycięzcą nie będzie, jak nie był nim ani Neron ani Kaligula ani żaden, który z ideą walkę podejmował. Łatwiej snać napisać księgę, niż tę tyle już razy dowiedzioną prawdę pojąć, boć inaczej nie potrzebowanoby daremnej pracy. — Więc przebaczmy im, bo nie wiedzą co czynią, niech historya wyda na nich wyrok! I stanie się, że kiedyś jeszcze własne ich wnuki wzgardą ich pamięć okryją, bo cywilizacya nie zna szowinizmu, a wszystkim miłość braterską zalecając, tylko wzgardę ma dla oprawców i każdego narzędzia zbrodni, bez względu czy się ono nazywa Neron czy jakiś mongoł czy inaczej, czy występuje we własnej skórze barbarzyńcy czy w masce cywilizowanego mordercy z filozofią w ręku.

Żadna tu filozofia mu nie pomoże, światła prawdy nie zgasi; a krew i łzy, które wyciśnie, ten tylko mieć będą skutek, że z ogołoconego pnia mordowanego narodu, prędzej nowe wystrzelą pędy i znów bujne zakwitnie życie, bo płodną jest każda łza, każda krew ofiarna, a w pniu tkwi myśl nieśmiertelna, z której się narody jak feniks z popiołów, odradzają. A kto myśl chce zdusić, daremną podejmuje pracę, bo to niech pamięta, że:

Wszystko zginie na potoku,
Wszystko zginie na głębinie
Co widome tylko oku,
Lecz idea nie przeminie.

A ideą właśnie, ideą wspólną dla wszystkich trzech dzielnic, naród polski dziś żyje i żyć będzie. Ciało jego wprawdzie bliznami okryte, krew na

nich jeszcze nie zastygła, łzy leje, ale wielki w tem męczeństwie i nieśmiertelny, znów się jak trzcina podnosi.

To nie czcza poezya tylko, nie mrzonka żadna ale prawda jasna, rzeczywistość którą już nawet sami oprawcy uznają i licząc się z nią jako faktem niezaprzeczonym, tem gwałtowniej uderzają. A już to samo wystarczającym jest dowodem uznania naszej narodowej siły, boć nie podejmuje się tak zaciętej walki z jakąś urojoną marą, z jakimś upiorem tylko.

Niech więc to ich śmieszne szamotanie się bardziej utwierdzi nas w poczuciu własnej siły, przez co jeszcze się nasza odporność wzmoże. Bądźmy tylko pewni, że żaden cios brtutalnej napaści nie zdoła skruszyć „tarczy opieki“, która nas „osłania“. Może zaboli, może nawet wyszczerbi czasem narodową twierdzę naszą, ale jej ani zburzy ani zdobędzie, bo to już nie państwo tylko, a więc nie gmach sztucznie przez ludzi pięścią zbudowany, ale naród, naród koniecznością dziejową wyrosły. Stanowi już składową część ludzkości, organ dla jej całości i zdrowia niezbędny. To nie jakieś luźne kółko, które możnaby usunąć bez szkody ogólnego mechanizmu. I nie nowotwór ani polip do powierzchni tylko przyczepiony, ale organizm silny i zdrowy głęboko swe korzenie zapuszczający. A więc go lada zawierucha, lada zachcianka od pnia nie oderwie i nie zmieni ani zniweczy. Jego losy, jego byt, ściśle już z losem całej ludzkości związane, nie zależy ani od bytu politycznego wogóle ani od formy rządu w szczególności a tem mniej od ukazów i konszachtów obcych gabinetów, ale wprost i tylko od rozwoju i postępu idei wolności. Ztąd tryumf tej idei będzie też tryumfem Polski.

Kto więc pracuje na naszą zgubę, wrogiem jest nie tylko naszym. Zresztą daremny to dziś trud, Można było niegdyś pochłonąć takich Wendów, Obotrytów i inne, nowe, mniej odporne latorośle słowiańskie, ale naród polski nie da się wepchnąć w tę germańską otchłań. Broni go silne przywiązanie — dowodem Szlązk, który po 500 latach z korzenia znów polskie, jędrne i zdrowe puszcza kiełki a wkrótce się całkiem odrodzi. A inne dzielnice już uświadomione zdołają się oprzeć największemu naciskowi. Owszem, im on silniejszy, tem silniejsze rodzi poczucie narodowe. Nie ma też obawy, aby znikczemniał w niewoli, jak znikczemnieli słowianie pod tureckiem jarzmem.

Kiedyż więc ciemiężcy zaprzestaną tej bezużytecznej a wstrętnej pracy, kiedyż pogodzą się z faktem, że nie ginie naród siebie świadomy, ideą natchniony.

A któż go tą ideą natchnął? kto go i niezdobytym uczynił?

Czyjaż to ręka miliony serc polskich w jedno wspólne zespoliła ognisko i jeden im cel wskazała: resurgam! Kto je rozbudził, kto je podniósł? kto im nad poziomy wzlatywać kazał? kto cierpieć nauczył? kto im przypomniał, że te zgnębione, te zakrwawione serca polskie, czy z nad Gopła i Wisły, czy z nad Niemna, Dniepru albo Sanu, — wszystkie i zawsze i wszędzie jednako bić powinny: braterstwem, zgodą, poświęceniem dla jednej wielkiej wspólnej ojczyzny? Czyjeż to usta uczyły je wierzyć i kochać i pragnąć? Kto w nich niestartemi głoski wypisał jedno wielkie, wspaniałe, potężne słowo: wolność?

Kto?

To on, Mickiewicz, ten następca Piastów i Jagielonów, Kordeckich, Konarskich, Kościuszków. To on, ten poseł Opatrzności, natchniony prorok i obrońca narodu, król pieśni polskiej. — Więc król obok królów na Wawelu spoczął, więc król, królewskie zajął miejsce w każdem sercu polskiem. Więc oto wszystkie trzy polskie dzielnice chórem dziś pamięć swego króla wielbią, chwałę jego głoszą, wdowim groszem spiżowe mu pomniki stawiają. Ale nie jemu, nie martwym tylko prochom, lecz tej myśli wielkiej, nieśmiertelnej, którą on przedstawia a którą we wszystkich trzech Polski stolicach spiż wiecznie będzie głosić. Niech świat podziwia, że to jeden naród, bo jednego króla słucha; naród rozdarty a niepodzielny, pokonany a niezwyciężony, bo jeszcze tyle w nim życia ile w pieśni.

Ostatnia dziś Warszawa wielkie święto święci — to tryumf dojrzałości i politycznego rozumu. I nas tam nie brak, bo każde jej serca uderzenie, głośnem echem i nad Wartą uderza, wzywając na wspólne gody. Ale i my już dojrzali, i my pomni na Mickiewiczowskie „Zawcześnie kwiatku“, więc idąc tam za głosem serca, nie zejdziemy ze stanowiska, jakie nam smutne dzieje wyznaczyły. Spełniając przyrodzony obowiązek względem własnej braci, nie myślimy się przez to uchylać od niego względem państwa. A ktoby nas próbował z jednej lub drugiej drogi sprowadzić, temu odpowiemy Mickiewiczowskiem „A kysz! a kysz!“

S.

[Przedruk wzbroniony.]

Zygmunt S. Słupski.

POLITYKIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Jeszcze!

W całej wsi i po za wsią nawet, było o tem gadania co niemiara. Długo się gęby nie zamykały; o niczem jeno wciąż o pożarze mowa. Gdzie się nie obróć, wszędzie tylko Franek na językach.

Ale nie wszystkie uwagi były dlań życzliwe — były i takie, były i takie. Zaraz pierwszy Antek nie może mu strawić, że się większym okazał zuchem.

A takich Antków znalazło się więcej. I nie dziw, boć dziewucha z gospodarką i nie żaden wałkoń ani koszlun, toć to dla każdego rzecz łakoma. Nie jeden się też oblizywał i ślinkę łykał — a tu przychodzi taki oryl i masz. Gdyby nie to, to kto wie kogo by wolała: Antka abo i nie Antka. Każdy się spodziewał, bo dla wszystkich była jednako obojętna.

Ztąd to oryl dla wielu był solą w oku. A że we wsi, jak to zwyczajnie we wsi, wszystko krewność albo choć pokumani, więc każdy miał za sobą kogoś a on żywej duszy, prócz Kasi i dziewcząt, o czem zresztą nie wiedział; bo i zkądże? Za to baby bez mała wszystkie mu przeciwne a najbardziej Solarzowa i Okunka. Ta by też chciała swego Bartka żenić; ale Kasia większy ma do niego wstręt niż nawet do Antka, a za to całą złość Okóniowie na Franku wywierają. Oni, co prawda, nikomu pokoju nie dadzą, a ztąd w całej wsi nielubiani. To też zwykle ich głosy nie idą w niebiosy, ale teraz nie jeden mile bajania Okónki, słucha rad że obniża wartość poświęcenia oryla.

— Słyszałeś ty, Antek, co matula gadają — zaczepia go Bartek u siana. — Niestworzone rzeczy! A to że on musi ze złem trzyma, bo go się ogień wcale nie imał.

Antkowi aż oczy zaświeciły. Przestał grabić.

— A może i prawda — mówi — bo żeby był co poczciwego, toby się tam żywcem upiekł, a jemu się nawet i kudły mało co osmaliły. Takiemu to niestraszno choćby w ogień leźć, bo pewny że mu zawsze nieczysta moc pomoże. Toć się i topił a żyje.

Bartkowi to widać do smaku trafia, bo głową potakuje. Już miał też coś i na języku, ale mu Jagna przeszkodziła.

Jagna okrutnie ciekawa, wszystko radaby wiedzieć, do wszystkiego się wtrąci. A takie to zmyślne, że tu patrzy, tam widzi — słyszy jak trawa rośnie; i na gębę, jak ją rozpuści, to jej chyba jedna tylko okónka dorówna. Gdyby nie to, jużby ją dawno który wziął. Dwórka tylko ale do roboty jęta, krowę też i pierzynę ma galantą. A do tego jak spojrzy i zęby pokaże, albo jak w taniec pójdzie a człowiekiem zawinie, to jeno w uszach dudni, i chciałoby się tak choć bez końca z nią tańcować; ale wedle ożenku, to się każdy zdraga, bo to psinaród nie dziewucha, więc pewno rutkę posieje.

Chybaby za Jaśkiem do Ameryki pociągnęła. A onaby do Ameryki pasowała, bo tam pono wszystkie takie. Tylko że on teraz pon, jakimś Dżianem się przezwał, to co mu za niewola jeszcze za szyf*) płacić. Czy to tam dziewuch brak?

Ale i ona też nie głupia na jego pisanie czekać. Byle się tylko inny nadarzył, to brałaby bez gadania.

---

*) Okręt. (z niemieckiego).

Żeby tak na Bartka toby ją zaraz z orylem pożenił. Dla oryla i taka dobra. A jak nie chce, to niech umyka zkąd przyszedł, póki cały. Bo czy to Jagnie co brak? Że za dużą ma gębę, no to i cóż? A niby to innym po weselu zarasta.

Zarasta nie zarasta, a taki Jagna dobra dziewucha, że daleko drugiej szukać. Z Antka się naigrawa, a jak się raz ten sam Bartek z żydkiem na niego rzucił, to gdyby nie ona, możeby go na śmierć zażgał — a wszystko bez zazdrość. Ale ona jak nie dopadnie, jak nie zdzieli napastnika, to się aż nogami nakrył.

A potem jeszcze, widząc że Antkowi krew jak z cebra dziurgiem leci, własnej koszuli udarła i rękę mu owinęła.

Więc czy to nie dobroć?

A że mu zapieka, to nie z żadnej złości, jeno że jej takie przyrodzenie — a na przyrodzenie już nie poradzi.

To też Antek zawsze za nią stronę trzyma; a choć się z niego śmieje albo i wymyśla, on ani mruknie; a drugiej toby pewno nie podarował. Mógłby kto pomyśleć że jemu nie Kasia jeno ta w głowie. Prawda że za nią nie ugania, — boćby to źle wypatrywało, kiedy się z inną chce żenić, — ale aby całkiem był jej przeciwny, to znów chyba nie, boć byłby inakszy i nie dałby sobie tak w kaszę pluć. Toć nawet gadał, że jak z Kasią nie wskura, toby Jagnę wziął.

A ona przecie na to jak na lato. Zresztą kto ją tam wie. Bo czy to z dziewuchą można być kiedy mądrym. A Jagna jak to Jagna — z tą jeszcze trudniej do ładu trafić.

Niby za onym „Dzianem“ czeka, ale jakby tak co do czego na prawdę przyszło, to by i tego nie odrzuciła, boć też chłop nie żaden umałek. Nie gzi się za nim, bo jej o tamtego chodzi; a że się naśmiewa i wciąż mu sierociną gospodarką oczy kłuje, to może bez zazdrość, a może tak tylko, z łaski na uciechę, aby się drażnić. I teraz też, ledwo gębę otworzyła, on aż drgnął i nuż siano zagrabiać, a ona tymczasem swoje:

— A baj że baju...

I zachechotała, aż się skowronek z pod pokosa zerwał. Jeden tylko Bartek się nie uląkł.

— Będziesz w raju — dokończył i śmiechem wtóruje.

— A ino, raju — przedrzeźnia Jagna — Oj wy, głupie, głupie chłopaki — dodała z politowaniem.

Bartkowi aż się oczy zaiskrzyły.

I cóż się tak za nim stawiasz? — mówi urażony. — Ujma się jakby to był nie wiem kto — mruknął jeszcze pogardliwie.

— A bo co prawda to i nie grzech — dowodzi Jagna. — Okónka, kiej taka przemądrzała, to niech lepiej powie: zkąd się tam raptem ogień wziął, i kto to tak chyłkiem przez pole umykał.

— Abo kto umykał?

— Toć gadają.

Bartkowi się wydało, że tak spojrzała, jakby to on; a przecież nie on, ale choć Bogu ducha winien, oczy spuszcza. Bo jeżeli mogli już gadać, że z zemsty dworskie gumna podpalił, to i teraz znów może być na niego.

Jagna wie o tem i z umysłu powtarza, aby mu gębę zamknąć. On też zamknął, a ona zawraca do swego.

— Oj wy, wy — lituje się. — Już nie mają o czem gadać, to im ze złem trzyma...

I znów parsknęła śmiechem; a potem zaraz dodaje:

A czyżeście-to nie widzieli, że znak krzyża zrobił?

— Ja tam nie widziałem — wypiera się Bartek.

— A żebyś ty tak zdrów był — niedowierza Jagna i zwraca się do Antka: — Możeś i ty nie widział, co?

Antek ni tak ni tak nie mówi; Bartka tymczasem sumienie ruszyło.

— Widział nie widział — mruczy — no to i cóż?

— A widzisz żeś widział — pochwytuje Jagna — a tylo wam zazdrość, bo chwat chłopak.

— U wa!

— Juści że chwat, a wy co?

— To go sobie zabierz — radzi Bartek.

— Myślisz że nie wzięłabym? O jej!

I pod boki się ujęła a pyszni się.

Antek tylko splunął i zagrabia; ale tamten nie ustępuje, bo nie może za przymówkę darować.

— Ty byś żadnego nie odrzuciła — mówi — byle się głupi napatolił.

— Głupi nie głupi — odcina się Jagna — a ciebiebym jednak nie chciała.

I pogardliwie wzrusza ramionami.

— A co jabym — dodaje — z takiem chuchrem robiła, albo i Kasia..... Boże!... Chybaby która oczu w głowie nie miała.

Chłopak aż poczerwieniał, bo mały a radby za dużego uchodzić.

— Co przytykasz — wymawia obrażony — A czy to mi co brak?

Jagna mu tylko chechotem odpowiedziała; a i Antek się też roześmiał.

— Psinaród nie dziewucha — mruknął, kręcąc głową, i wtrąca się: — Nie poradzisz, bracie.

— A bo to prawda! Poradzę! — upewnia zacietrzewiony już Bartek.

Toć ona tylo ze zbytków tak psoci — uspakaja go rozjemca.

— Ty bo zawsze za nią trzymasz — wymawia mu pokrzywdzony.

Antek nic już nie odpowiedział, jeno się nieznacznie ku Jagnie podsuwa, aby ją zastawić, gdyby do pięści przyszło. A tego u Bartka nie kupi.

Jagna czując obrońcę, tem śmielsza.

— Taki Franek — ciągnie — to nie mówię. Przynajmniej chłop.

Tego już Bartkowi nadto. Ale im bardziej chciałby Jagnie odpłacić, tembardziej mu z tej markatności słów brak. Milczy, i niby się śmieje, ale aż poczerwieniał. W końcu machnął ręką.

— E, szkoda gęby psuć — mówi i ma się do odejścia.

— To się wie. Nieopłata — stwierdza Antek.

Ale Bartek już widać natchnienie odzyskał, bo znów zaczyna.

— Wiesz ty co, Jagna, nawet i oryglowi takiej jak ty zadziory nie życzę. A ten twój Dżian niechby się lepiej wpierw powiesił abo do morza wskoczył.

Drugaby mu chyba oczy wydrapała a ta się jeszcze bardziej śmieje.

Zwłaszcza też Bartek okrutnie zawzięty i na wszystko gotów. A skoro już się nawet z Antkiem mógł pogodzić, to już się widać na zgubę nowego przeciwnika usadził. Niedarmo też pewno tak w karczmie chłopaków częstuje. Prawda, że miru u nich nie ma, ale poczęstunek coś znaczy i może tego i owego kupi.

Już Antkowi Jagna mówiła, żeby się od Bartka odczepił, ale on go się jakoś trzyma i słucha teraz, boć tu o wspólnego nieprzyjaciela chodzi, więc się przeciw niemu zmawiają.

Tak to Jagna chciała orylowi dopomódz, a bodaj wszystko jeszcze bardziej tem swojem drażnieniem popsuła.

Cóż tam że pomoc obiecuje. Jemu z tego nic, bo co taka Jagna może. Tyle że gada, a gadanie wiatr niesie.

Toć i to nawet, że Solarza z talarami uratował, też niewiele pomogło. Prawda, że mu ten wypadek niejedno serce zjednał, ale też i niechęci przysporzył — bo czy to mało zazdrosnych? Toć niby Solarz mu życzy, ale Solarz bez baby i palcem nie kiwnie, a tej babie jakoś nie w smak, że to oryl a nie Antek się tak spisał.

To też Oryl po dawnemu na uboczu się trzyma a przez to tembardziej Samsonem go zowią, bo zawsze sam.

Jako też i teraz, kiedy inni już sobie podjedli i wesoło baraszkują, on się zdala do kupki przytulił i tak o suchej gębie leży.

— O laboga! laboga! ludzie, bo pęknę z tego śmiechu...

— Ty się śmiej, nie śmiej a to sprawiedliwie prawda. Żeby tak na mnie, to wolałbym iść do piekła.

— Ty i tak tam będziesz. Nie bój się. A o Dżiana ani o żadnego niech cię głowa nie boli. Zapamiętaj to sobie, jeszcze ty kiedyś mojemu pozazdrościsz i będziesz Boga prosić o taką jak ja kobietę. To nie żaden śmiech. Zobaczysz. Nie każdego ci ja wezmę, ale jak już wezmę, to nawet i w niebie lepiej mu nie będzie, choćem tylko dwórka. No zobaczysz — powtarza — bo ja mojego tak będę szczyrze miłowała, tak na niego chuchała, tak dmuchała, tak mu wszystko podtykała, że jak nie wiem co!

Antek się uśmiechnął, ale milczy, a tamten zaraz z kpinkami.

— To ci dopiero będzie! No to nie ma co, dalej go — zwraca się do Antka — będzie ci aż po brodzie kapało.

Antek ramionami tylko wzruszył i na grabiach wsparty, palcem w nosie dłubie.

— Antek i sam sobie najdzie, a ja mam już Dżiana, Kasia zaś niech z Bogiem Franka bierze.

— Nie tak zara — protestuje rywal.

— Zara czy nie zara, ale na to wyjdzie. Zobaczysz.

Bartek się żachnął, a tamten coś sobie mruczy.

— E, chłopaczki — z innej beczki Jagna zaczyna — co tu dużo gadać. Bo czy on tu na kogo choć palec zakrzywił albo marne słowo powiedział? Gadajta.

Jeden na drugiego w milczeniu spogląda.

— No gadajta — nastaje.

Antek wciąż milczy, ale Bartek swoje prawi.

— A czemu wschodzi gdzie go nie posieli?

— Głupi — zaraz z miejsca mu na to Jagna. A zkąd ty wiesz że go nie posieli? Właśnie posieli, bo go tu widać

sam Pan Jezus dla Kasi zesłał, skoro go tak cudownie uratował.

— A zkąd ty wiesz, że dla niej? — podchwytuje Bartek.

— Zkąd wiem to wiem, ale dla niej. I co wam z tego, żeście mu przeciwni, albo co on winien, że dziewucha żadnego z was nie chce, a za nim aż piszczy. Toć on się nie nadstawia a i tak ją dostanie. Przecie teraz i wujenka nie będzie od tego. A chybaby już całkiem Boga w sercu nie miała. Bo któż to jak nie on, i chłopa i garczek z talarami jej uratował. To też żaden jeno on Kasię dostanie.

— Ja tam o nią nie stojałem i nie stoję — zaczyna się Bartek wykręcać.

— To też pogódźta się i będzie. Lepiej że sobie na weselisku potańcujema.

Antek choć pewno w duszy racyę przyznaje, ale się tylko na Bartka ogląda, a ten znów jakoś do zgody nie skory. Na samo wspomnienie o weselu aż się w nim zagotowało.

— Nie jego doczekanie — zgrzytnął.

— A bo to prawda.

— Już ja w tem, że nie — zapewnia z uporem bezsilnych.

— Ty? I co ty zrobisz.?

— Co zrobię to zrobię. Zobaczysz. A może i co dostanie, ale nie Kasię.

Dziewucha aż parschnęła.

— Patrzcie jeno! — drwi sobie — komu to tu. Adyby on cię palcem przetrącił, na pazurzeby cię zgniótł. O tak, tak — dodała, wymownym ruchem illustrując słowa.

— Tfu! — zerwał się Bartek, jakby pokrzywą dotknięty. — Pójdźma!

— Pójdźma, pójdźma — skwapliwie podchwytuje Antek.

I poszli. A śmiech tryumfującej dziewczyny za nimi goni.

Bartka jeszcze ten śmiech korci, i możeby wrócił, ale mu tamten nie daje.

— Ady choć — ciągnie go. — Zaraz południe. Już matula z dwojakami idą. A co tam dziewucha, niech gada.

— E, jużbym może nic nie mówił, żeby to choć ty — biada Bartek prawie z płaczem, taki zawzięty.

— Toć i jabym wolał żeby ty — zapewnia Antek. — Sprawiedliwie — dorzuca jakby się bał, że mu nie uwierzy. — Ale cicho, bracie, nic jeszcze nie mów, bo to jeszcze niewiada, jaki z tem będzie koniec.

I ma racyę. Chłopaki teraz na ambit wzięli i z tej zawziątki gotowi jeszcze jakie głupstwo zrobić, byle na swojem postawić i oryla odsadzić, choćby im samym nic z tego nie przyszło.

Ale bo czy mu to jadło w głowie, kiedy tam teraz różnych myśli, jak pszczół w ulu — a jedna drugą wypycha.

Alboż nie ma o czem myśleć? Małoż to natracił? czy nie dość utrapienia? A choć i z tym topielcem, potrzebaż mu to było dla ognia go puszczać?

I niby motyl z kwiatka na kwiatek, tak on z myśli na myśl skacze. Jeno że motyl z kwiatów tylko słodycz, a on ze swych myśli tylko piołun ma. Dopiero kiedy mu się przypomniało jak to nań Kasia spojrzała, gdy przed nią wuja złożył, zaraz o wszystkich piołunach zapomina; bo dla jednego takiego spojrzenia warto nie raz, ale dziesięć razy w ogień skoczyć. A toć to tak człowiekowi błogo, tak błogo, jakby mu kto pełno miodu w serce nalał.

I aż mu się oczy od onej miodowej błogości śmieją, policzki się zrumieniły, a czoło rozjaśniło. Ale niedługo było tej jasności, bo ją zaraz inne wspomnienia znów chmurą smutku pokryły.

I taki smutny, że się aż bodaj cała przyroda nad nim lituje, taka mroczna, jakby załzawiona, że tylko patrzyć rychło zapłacze, bo już nad wschodem wisi szmat brudnego fijoletu.

Ale w okół jeszcze żółto-niebieskie sklepienie bez plam a słońce przypieka. Parno aż dusi. Powietrze przepełnione wilgocią i zapachami siana, bo ich żaden powiew od ziemi nie odrywa. Cisza, ani się trawka nie zakołysze; chyba że na nią szary skoczek wskoczy, albo ważka siądzie, ptak skrzydłem ją trąci lub żaba przygniecie.

Ale to tylko cisza przed burzą, bo już tam w dali coraz mroczniej i zaduszni też czasem, jakby kto po moście jechał, a błyskawica falą się zakołysze i ów zwolna wyżej a wyżej pnący się granat, purpurą oblewa.

A i tu już wierzby zaczynają szumieć; skowronki powracają z wyżyn; bocian ku gniazdu płynie; a czajka paryzkim akcentem skrzeczy do wtóru zielonym żabkom, które jeszcze swe spóźnione proroctwo rechocą, kiedy już bodaj o granicę pada. Ale wiatr się jakoś wykręca, więc ulewa może stroną przejdzie.

Franek tymczasem patrzy a nie widzi, słucha a nie słyszy, nawet choćby i tego Bartka, co nieopadal tak zawzięcie Antkowi coś rozpowiada. Daleko widać myśl oryla uleciała i błądzi teraz wśród krwawych cieniów, i strasznych wspomnień innej burzy, tej co niegdyś nad krajem szalała, tej, z której na jego kolebkę spadł ów piorun przekleństwa, co za nim wciąż jak upiór goni, a teraz dopiero zaczyna jego szczęście kruszyć.

I znów mu w duszy ciemno, ale to inna ciemność — ta, w której znikł topielec; i znów tam wicher straszny wyje, ale inny, nie ten dzisiejszy, jeno ten co mu go z rąk wyrwał i gdzieś, może do Gdańska popędził.

I znów wyraźnie widzi oną czerwoną kałużę a w tej kałuży tatula... Widzi martwego już Kowalczyka i matkę sierot. A ta matka wprost ku niemu swe połamane, krwią ociekłe ręce wyciąga i ono przekleństwo na głowę mu rzuca...

A taka groźna, taka mściwa, pewno nie podaruje swego, choć matula co rok za ich dusze na wypominki daje... O, to nikt tylko ona, ta mściwa matka skrzypki mu potrzaskała, ona to bóty i kapotę mu zatopiła... O, ona gotowa mu zawsze i wszystko tak psuć... A może i z Kasią popsuje... O Jezu, Jezu! jakże to syna za ojca karać...

A żeby to choć wiedział gdzie się teraz one sieroty obracają, toby i na kraj świata poszedł, za górami, za morzami by ich szukał, do nóg by im upadł i dopótyby nie wstał, pótyby się czołgał i tak pięknie prosił, tak błagał, ażby się przecie ulitowały i za winę ojca mu przebaczyły, boć i on sierota, i on biedak...

Zerwał się raptem, jakby chciał rzec: „Już wiem co zrobię!“ Głowę pochylił, ręce rozłożył i z jękiem na kolana pada z cicha długo szepce a potem się w piersi mocno bije i uroczyście zapewnia:

— Zrobię! Tak mi mój Jezu dopomóż jak ja to zrobię, oj zrobię, choćby mi ręce miały poupadać, zrobię, zrobię, jeno się nademną ulituj i...

Ale czy nie śmie, czy go wstyd albo nie może słowami dokończyć, bo tylko westchnął głęboko, głowę jeszcze niżej pochyla, ręce jeszcze szerzej rozkłada a wargi mu drżą modlitwą bez słów.

A kiedy znów legł na sianie, to czerwony niby upiór, dyszy jak pies a pot mu kroplami z twarzy zcieka. I u najcięższej roboty by się tak nie zmachał jak teraz. Ale czy mu się znów ono miodowe Kasi spojrzenie przypomniało, czy też tak pewien boskiej pomocy, dość że już całkiem inny, jakiś bodaj weselszy jakby rad z siebie, z uśmiechem w płynące chmury patrzy, choć nic tam nie widzi, bo mu teraz wciąż tylko Kasia na oczach stoi. I taki w nią zapatrzony, że ani nawet czuł jak i kiedy ze sterczącego źdźbła trawy, pająk się po swej nici prosto na czoło spuścił i po twarzy, po piersi mu łazi, aż dopiero na sercu przystanął i słucha zdumiony: co to tam teraz tak pod nim gdzieś kołace i co go tak piecze niby żar słoneczny?...

A może ten pająk, to posłannik szczęścia, może on dobrą przyniósł nowinę i teraz nadzieję w serce mu tak sączy, tkankę nowych marzeń przędzie.

Nagle głos Jagny przerwał tę nić pajęczą.

— A co tobie? Choryś? — dopytuje. — To czekaj, zaraz ci tu wody z octem przyniosę. Napijesz się to minie...

I nie czekając na odpowiedź, pobiegła.

Tymczasem u Solarzów po ogniu roboty huk, ale Kasia nie wytrzymała, żeby choć od południa na dworskie nie wyjść.

Antek zaraz drogę jej zabiega, ale ona boczy, aby go wyminąć. On znów za nią i dalejże wymawiać, że go w ogień pchała a orylowi wzbraniała...

Kasia tylko ramionami wzruszyła i dalej idzie, ale on wciąż za nią.

— Odczep się, mówię, pókim dobra.

— E, taka to i dobroć twoja. Możeś i dobra ale dla kogo, nie dla mnie. A com ci zawinił? Dawniej byłaś inaksza... Ale ty jeszcze pożałujesz tego...

I uśmiechnął się tajemniczo.

Kasia nań z niepokojem spojrzała.

A on widać ten jej niepokój spostrzegł, bo się głośno zaśmiał i grozi.

— Już ja mu swej krzywdy nie podaruję! Zobaczysz. Adyć dla gospodarskiej córki wstyd, żeby taki jakiś tam oryl...

Ale nie zdążył dokończyć, bo go właśnie ekonom zawołał i z Bartkiem na koniec łąki posłał.

To i lepiej, bo się już Kasia zerwała jakby kto na nią ognia rzucił, aż się cała trzęsie, tak jej widać tem swojem gadaniem dopiekł.

— Zkąd dziś u niego taki rezon? — myśli. — To chyba niczyja jeno Bartkowa robota.

— I tak myśli a okiem na okół wodzi. Skoro zaś Franka spostrzegła, to i o myśleniu i o całym Antku zapo-

mniała. Aż na nią poty uderzyły i serce zadygotało.

Zaraz też Józwa Kundę trąca.

— O, o, widzisz — mówi — jak to boczkiem sunie...

— A niech. To i lepiej.

— Jušci lepiej — przywtarza Zośka.

Tu zaczyna się zgadywanie: czyby Solarzowie takiemu ją dali. Toć powinni, ale kto ich tam wie. Chyba, że się weźmie....

I radeby orylowi pomódz, ale jak kiedy on taki nieruchawy.

— A ino — zaprzecza Józwa — nieruchawy by ci tak poszedł za kim w ogień albo w wodę...

— Ale do dziewuch nie ruchawy.

— E, on jeno taki z cicha pęch.

Józwa się jakoś zadumała.

— Żeby tak na mnie — mówi — tobym takiego nie popuściła, oho!

— Masz! — podchwytuje Zośka. — Już i tej do smaki przypadł.

— I tybyś wolała niż swojego krzywucha.

— Już ja tam wolę choć krzywucha niż żadnego. Tybyś i krzywucha rada.

— A widzisz, nieprawda. Franka, nie zapieram, wzięnabym, ale takiego nie.

— E, co tam się swarzyć o ten wiatr, kiej nie wasz — przerywa Jagna, podchodząc. — Lepiej ode-dźma dalej, niech się tam kochają. Nagadałam Kaśce, żeby go ośmieliła.

To też Kasia już przy orylu.

Ale jak stanęła tak stoi. Na grabiach głowę wsparła i zadumana patrzy. Widać też zacząć nie śmie i czeka, czy on nie zagada.

Ale i on ani me. Nawet nie spojrzy. Strasznie mu gorąco, a to go pewno tak ta para ukochanych oczu aż gdzieś na dnie serca, jak dwa węgle piecze. Ale im bardziej piecze, tem on spieszniej siano zagrabia.

Kasię nareszcie kaszel porwał.

A on jeszcze nie, jakby nie wiedział co to takie kaszlanie znaczy.

Dziewucha widząc, że tak z nim do końca nie trafi, zawołała:

— Franek!

Ale takie to i wołanie. Myślała tylko, że woła, a ona ledwo wargami ruszyła, jakby ją kto dławił. Ale się widać zawzięła, bo znów powtarza:

— Franek!

— A co?

I urwało się. Dalej ani rusz.

Ale niesposób na tem skończyć, więc znów po chwili zaczyna:

— Widzisz, widzisz, jak ci bestya zając wyrywa!

— Gdzie?

— A o, o... tam... o!...

— Tam? Przecie to kamień, a nie żaden zając.

— Kamien? A może i kamień...

I znów zamilkli.

Franek precz siano zawzięcie grabi, a Kasia znów się weń wpatruje, jakby go chciała oczarować czy co. A to ci utrapienie i z dziewuchą.

Już biedak aż drży cały jak w ograżce, a ona go wciąż oczami świdruje i świdruje. Chyba chce, żeby na miejscu trupem padł albo co, bo już bodaj że dłużej nie wytrzyma.

A i ona też drży jak polotka i sama już ani wie co robi i co się z nią teraz dzieje.

Franek chcąc już raz koniec zrobić, sam zagaduje:

— Rządzca jedzie!

Kasia zaraz do grabienia, a pyta:

— Gdzie?

— A o, tam.

— Tam? Przecie to wierzba nie żaden rządzca.

— Wierzba? A może i wierzba.

I znów się urwało.

I znów Kasia myśli o czemby tu zagadać, aż wymyśliła:

— A jak się ty, Franku, nazywasz? — pyta.

— Jak? A no, Franek.

— Toć wiem. Ale z ojca?

— Z ojca? Jušci Olachowski.

— O, to jakoś z szlachecka.

— Bo ja to wiem... Ale ojciec już nie żyje.

— O jej! nie żyje! A toś i ty, nieboraku, sierota.

Słów niewiele i tak proste, takie niby zwyczajne a wymowniejsze niż najmędrsza księga, słodsze niżli pieśń anioła. Jeszcze chyba nigdy takiej mowy nie słyszał, a choć i słyszał, to nie szła tak prosto aż w serce. Nawet i matula, tak nie pożałowała. To też raptem tak ono sieroctwo poczuł, że aż mu się łza w oku kręci a wargi drżą. I tak na oną litościwą Kasię spojrzał, że aż oczy spuściła.

— Jakaś ty dla mnie dobra, — mówi i podchodzi bliżej.

— Dobra? A toć-em ci jeszcze nic dobrego nie świadczyła — odpowiada Kasia i też się nieznacznie zbliża.

Zanim domówiła, byli już obok siebie.

A Józwa znów Zośkę trąca.

— Patrz, patrz, już się zmówili.

— Zazdrość ci?

— E, zazdrość znów... I po mnie Wojtek z Ameryki napisze.

— Akurat jak ten Jasiek po Jagnę. Jeno czekaj.

— Co nie ma pisać...

— A i jechałabyś aż tak daleko? — wtrąca Kunda.

— Thi, czemu nie.

O jej, jabym się bojała.

— Toć i tam ludzie żyją. A jakby twój krzywuch jechał, nie pociągnęłabyś za nim?

— On nie pojedzie.

— Jeszcze nie wiada co na kogo padnie.

— Toć do wojska nienależący.

A kiedy tak o Ameryce prawią, już Kasia z orylem poufali.

— I dawnoż to cię ojciec odumarł? — pyta.

— A już będzie z jakie 20 roków.

— Ale matula żyją?

— A ino. Ma chałupinę i 8 zagonów.

— Jakże się na takiem kawalątku używić.

— Tyle że się na żyda i podatki pracuje.

— To też tam sprzedać a matulę tu sprowadzić.

— Toć na spozimku dawali 150 papierków, ale ona nie i nie. A choćby się żyda zapłaciło, jeszczeby kawał grosza został. Ale żeby tak wyszło na to co myślę, o mój Jezu! jużby mi wtedy nic do szczęścia nie było potrzeba.

— A o czem to ty myślisz?

Franek westchnął.

— O czem ja myślę? A, o tem nikt wiedzieć nie może, bo to pewno na nic.

I znów siano zagrabia.

A Kasia dopytuje.

— Gadaj. Możebym ja mogła zaradzić.

Chłopakowi aż grabie z ręki wypadły. Bo któż jak nie ona, ona jedna tylko najlepiej by od razu zaradziła więc już coś miał na języku, ale jeszcze dał spokój.

— E, co tu gadać.

I po grabie się schyla.

A Kasia ciekawa, za język go ciągnie.

— E, ja bodaj wiem o czem ty myślisz.

Gdyby tak odgadła sama, to możeby się chłopak niebardzo gniewał, więc zaraz pyta.

— No a o czem?

— A wiem, ale powiedz ty, to i ja powiem.

— Oj nie mogę, Kasiu, nie mogę.

— Ano jak ty nie, to i ja nie. Już nigdy ani gęby nie otworzę, kiedyś taki

I niby zagniewana, do roboty się zabiera. Ale nie długo było tego gniewu. A gdzieby tam wytrzymała. I znów zaczepia.

— Franku?

— A co?

— A czy też tam, zkąd ty jesteś, dużo dziewuch?

— Toć są.

— I gospodarskie córki też?

— A też.

— To ty się tam pewno ożenisz z jaką?

— Ja Kasiu? Nigdy przenigdy!

— E, tak się to gada...

— A choćbym zmarniał, to żadna albo...

Ale machnął ręką i urwał.

— Albo co? podchwytuje Kasia.

— E, co tu o tem gadać, kiedy aż się człowiekowi nie wiem co robi. Bo gdzie tu do żeniaczki jak na grzbiecie jedna koszulina...

Kasia się zadumała, ale po chwili znów zagaduje.

— Franku?

— A co?

— Powiedziałabym ci coś ale...

— To gadaj.

— Kiedy to ciebie nie obchodzi...

— Mnie nie obchodzi? O to ty mnie jeszcze, Kasiu, nie znasz.

Kasia oczy spuszcza, ale zaczyna:

— A to widzisz — mówi ciszej — wujenka okrutnie nastaje, żebym Antka wzięła, bo to on po jej bracie...

Franek aż się zatrząsł.

— A ty?

— Ja? A niedoczekanie ich! Nigdy przenigdy! Choćbym zmarniała, to żaden albo...

— Albo co? — podchwytuje chłopak cały w ogniu.

E, co tam... Jabym ci może i powiedziała, ale...

— Gadaj, gadaj...

— Kiedyś ty zawsze dla mnie taki jakiś nijaki...

— Ja dla ciebie nijaki?

— A może nie?

— Jakiż mam być.

— Zawdyk choć źdźiebko inakszy.

— Toć byłbym inakszy, o, byłbym, ale... E, co tu gadać.

I znów ręką machnął.

Za wysokie tam progi na moje nogi.

A nie baj, bo nieprawda. Może dla

Antka i dla drugich za wysokie, ale nie dla ciebie.

Ledwo że to wymówiła, a on zaraz grabie rzuca i obces do niej.

A ona niby się to broni, ale niebroniący.

— O jej! Franku — szepce — co ty wyprawiasz! Dajże spokój, psinarodzie! daj spokój, bo będę krzyczała! Puszczaj, bo jeszcze kto zobaczy. O, rządzca jedzie!

— To nie rządzca, nie, to wierzba — dyszy Franek.

— Nie, nie wierzba... O, na prawdę... słyszysz jak drze się...

Ale jak się chłopak dorwie, to czy on tam o co dba, choćby i dziesięciu rządców wołało.

A i znią się teraz dziwne rzeczy dzieją.

Bywało już przecie, że ją który wycałuje, ale widać całowanie całowaniu nierówne, bo nigdy jeszcze takiej błogości w duszy nie czuła. Cały świat z nią tańcuje; w głowie szum...

A to skowronek tuż nad nimi wisi i śpiewa zachętą:

„Kochajcie się zawsze! Kochajcie się jeszcze! jeszcze! jeszcze!...

A jednonogi Wojtek na mokradle stanął i znacząco na nią zerka.

Kasia już nie śni... odwraca się, zawstydzona fartuchem oczy zasłania a wyrzeka:

— O jej, o jej! coś ty narobił... Co to teraz będzie?...

A oczami mówi: Jeszcze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości.

Za przesłane nam bardzo liczne noworoczne życzenia dziękujemy najuprzejmiej.

REDAKCYA „PRACY“.

Jeszcze czas zapisywać „PRACĘ“ na bieżący kwartał.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał a pragnie mieć jeszcze gwiazdkowy i noworoczny numer oraz numery następne pięknie ilustrowane i w doborową treść obfite — niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

☛ *tylko 1 markę,* ☚

a dostanie wszystkie numery i **piękne cenne premium, składające się z kilku książek.**

Mamy zaszczyt zawiadomić szanownych prenumeratorów, że

☛ **Kalendarz-Handlowo-Przemysłowy** ☚

ofiarowany jako premium

już wyczerpany.

W miejsce tegoż ofiarujemy nowoprzybywającym abonentom pięknie ilustrowaną książkę p. t.

Piast i Kościuszko.

Zgłaszający się winni dołączyć kwit abonamentowy i 30 fen. na porto.

Premia dla Czytelników!

☛ Piękną drogą ilustracyą „WOJSKO POLSKIE“ otrzyma każdy z Czytelników, który zjedna nowego abonenta na „Pracę“ i nadeśle do Administracyi odnośny kwit pocztowy wraz z własnym kwitem; kto zjedna kilku abonentów, otrzyma „Wojsko Polskie“ i piękną, obszerną książkę w dodatku.

Wydawnictwo „Pracy“.

☛ ***Kto z nowych abonentów wskutek późnego zamówienia „Pracy“ nie dostał początkowych numerów z bieżącego kwartału, ten może je otrzymać w odnośnym urzędzie pocztowym za dopłatą 10 fen.***

— **W odpowiedzi na listy dotyczące premii** oznajmiamy w miejsce poszczególnych uwiadomień, iż ekspedycya tychże premii dokonywa się bezustannie, że jednakowoż z powodu niezmiernej liczby zgłaszających się niepodobno wysyłkę od razu załatwić. Prosimy więc o cierpliwość.

☛ **Początek drukującej się powieści „POLITYKIER“ i „ŻONA DOKTORA“ otrzymają nowoprzybyli abonenci w połowie Stycznia, o czem jeszcze doniesiemy.**

— **Wynik prac konkursowych,** których druk rozpoczęliśmy w gwiazdkowym numerze, a których dalszy ciąg kolejno następuje — odkładamy dla braku miejsca do następnego numeru.

— **Skorowidz** czyli spis rzeczy zamieszczonych w „Pracy“ w ciągu roku 1898 — dołączymy dla Szanownych Czytelników do jednego z pierwszych numerów styczniowych.

— **Zwracamy** baczną uwagę na ogłoszenie Rodaka, gorliwego czytelnika „Pracy“, poszukującego kupna lub dzierżawy gościnca.

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie pana Kazimierza Perkitnego, który otworzył przy ul. św. Marcina 26 zakład dentystyczny. Pan P., mając długoletnią praktykę po za sobą, będzie mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom, wchodzącym w zakres dentystyki. Zakład jego polecamy Szanownej Publiczności.

Zmarli:

Krotoszyn, 3. 1. 99. Nader smutną wiadomością przychodzi nam się z Wami podzielić. — W dniu dzisiejszem odprowadziliśmy na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. dr. Antoniego Borowskiego, który w mieście naszem cieszył się ogólnym szacunkiem i poważaniem u wszystkich stanów. Życie jego było prawdziwym obrazem pracy i poświęcenia; kochał gorąco co polskie i był jednym z pierwszych, gdy chodziło o to, ażeby dać dowód, iż sprawy nasze zawsze stawia na pierwszym planie. To też był prawdziwie poważanym, czego dowodem była dzisiejsza uroczystość pogrzebowa, w której wszystkie warstwy społeczeństwa naszego jak najliczniej zastąpione były. Mowę żałobną wygłosił ks. Jagielski z Raszkowa, wielbiąc czyny zmarłego i żegnając go czułemi słowy, tak iż wszystkich uczestników do łez pobudził. I my z naszej strony żegnamy go, niech mu ta ziemia ojczysta, do której prawdziwą miłością synowską pałał, będzie lekką i niech go Bóg jak najprędzej przyjmie do chwały Swojej! *R. i p.*

Śp. Wincenty Bolewski w Poznaniu, przeżywszy 77 lat, długoletni redaktor odpowiedzialny „Dziennika Poznańskiego“. Na stanowisku tem zmarły dużo wycierpiał, odsiadując często dłuższe kary więzienne.

Śp. Klotylda z Dzierżanowskich Moszczeńska w Bydgoszczy.

Śp. Kasper Galantowicz w Gnieźnie, współzałożyciel i najstarszy członek rady nadzorczej tamtejszej Kasy pożyczkowej.

Śp. Zygmunt Perzyński w Nakle, przeżywszy 33 lata.

Śp. Celestyn Wieniawa-Chmielewski w Sopotach, dawniejszy dzierżawca Jankowic pod Łasinem w Prusach Zachodnich. Niebożczyk zjednał sobie nietylko u swoich, ale i u obcych wielki szacunek.

Śp. Józef Klementowski w Lwówku, ojciec ks. Wacława Klementowskiego w Lwówku.

Śp. Jan Kozłowski, nauczyciel w Wysocku Małem pod Ostrowem.

Śp. Klementyna z Ruszczyńskich Kozierowska we Wrześni.

Niech spoczywają w spokoju!

Ruch w Towarzystwach.

Lipsk. Towarzystwo Przemysłowców Polskich. Zawiadamiamy, iż walne posiedzenie przypada na przyszły wtorek, 10go stycznia rb. w lokalu „Bayrische Krone“ (Raustetter Steinweg) o godz. 9 wieczorem, na którem przyjdą ważne sprawy pod obrady i nowy zarząd obierany będzie. Na to posiedzenie zapraszamy wszystkich rodaków Lipska i okolicy.

ZARZĄD.

Wiadomości kościelne.

— **X. prob. Krzesiński** w Kaszczorze otrzymał od Patryarchy Jerozolimskiego krzyż rycerzy Świętego Grobu.

— **Introdukcya** X. prałata Wawrzyniaka na probostwo mogilnickie odbyła się we wtorek przed Nowym Rokiem z wielką uroczystością. Z Poznania wzięli w niej udział pomiędzy innymi pp. posłowie radzca Motty, szambelan Cegielski, Wł. Jerzykiewicz, radzca Mizerski, prócz tego pp. dr. Kusztelan i dr. Kantecki. Po uroczystości kościelnej odbyła się uczta. Wieczorem miasto zajaśniało iluminacyą.

— **X. dr.** Leonard Hejnowski, radzca duchowny i rządzca parafii archikatedralnej w Poznaniu, otrzymał prezentę na probostwo w Domachowie i objął je od Nowego Roku w komendę.

— **W trzecie** święto Bożego Narodzenia został nowy kościół w Róży (Rosenfelde w dekanacie wałeckim) przez X. prob. Falkenberga ze Skrzetusza poświęcony. Kazanie wygłosił X. prob. Prandke ze Smiełowa, pochodzący ze wsi uszczęśliwionej nowym kościołem.

Jubileusze.

— **Z dekanatu lwóweckiego.** Niezwykłą uroczystość obchodził dnia 27 z. m. i r. w Brodach X. prob. Gieburowski, bo siedmdziesięcioletni jubileusz dyamentowy kapłaństwa. Ponieważ stan zdrowia sędziwego jubilata nie jest zbyt pomyślny, postanowiono zaniechać wszystkich zewnętrznych, okazałych manifestacyi. Ztąd po uroczystej Mszy św. tylko przedstawiciele duchowieństwa dekanatu lwóweckiego wręczyli sędziwemu Jubilatowi adres ozdobnie i artystycznie wykonany w pracowni p. Szulca w Poznaniu. Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz przesłał Jubilatowi, którego cnoty osobiście jeszcze znał jako pasterza i przyjaciela ś. p. Emilii Sczanieckiej z Pakosławia, w serdecznych i gorących wyrazach życzenie i błogosławieństwo Arcypasterskie.

HUMORYSTYKA.

GRACZE.

(Tłomaczone z Puszkina).

Zasiedli społem:
Każdy nad stołem
Wsparty,
A każdy w wiście,
Bił zamaszyście
Karty.

I tylko czasem,
Przerwa z hałasem
Ciszę;
Każdy na desce,
Kredą po kresce
Pisze.

I wiodą spory:
„Lewy! honory!“
Krzyczą:
I znowu w szyki
Trefle i piki
Liczą.

Po każdym robrze,
Stuknęli dobrze
Starki;
I znów nad stołem,
Zwiesili społem
Karki.

Jaka płaca, takie litery.

— Panie Gapski, jesteś pan kiepski korespondent, bo pan stawia takie małe litery, że ich wcale nie widać...

— Proszę pana pryncypała, jak się ma taką marną pensyję, jak ja, to trudno, pisać większemi literami...

I JA TEŻ BYŁEM FARYSEM.

I ja też kiedyś byłem Farysem,
Pędziłem życie w zapale,
Dziś na mem czole siwem i łysem
Nie widać tego już wcale;

I ja też kiedyś byłem Farysem,
Na mnie patrzały dziewczęta,
Dzisiaj jam inny każdziutkim rysem
I żadna mnie nie pamięta.

I ja też kiedyś byłem Farysem,
Rej wiodłem w Nizzy, Monaco,
Dziś świat mnie zowie wygą i lisem,
A żona — starym pokraką!

U dentysty.

— Jest pan?

— Jest, ale nie przyjmuje.

— Mój kochany, powiedz, że mnie okrutnie zęby bolą...

— Właśnie pana dentystego też zęby bolą i dla tego nikogo przyjąć nie może.

W sądzie.

— Co cię oskarżony skłoniło do kradzieży?

— Pycha, panie sędzio...

— Jak to?

— Chciałem nazwisko swoje ujrzeć w druku.

DOBRY SZEWC.

— Co się tak przypatrujesz moim butom?

— Bo chciałem zapytać, czy ty nie znasz jakiego dobrego szewca.

— Tak, mój jest bardzo dobry... bo już trzecią parę zrobił mi na kredyt.

W SALONIE.

— Nie uwierzy pani, ilu ja już kobietom w swem życiu pozawracałem głowy.

— Owszem, bardzo panu wierzę, ponieważ i ja ile razy pana widzę, tyle razy zawsze odwracam głowę...

— Ach! pani, o tobie śnię w dzień i w nocy!

— Jakto! więc pan sypia we dnie?!!

Przed ślubem.

W domu przyszłego teścia i w obecności narzeczonej młody człowiek na krótki czas przed dniem ślubu objawiał w bardzo stanowczy sposób swoją wolę:

— Żądam — mówił — aby nasz ślub odbył się punkt o 11, następnie, aby podano wykwintny obiad w poufnem kółku najbliższych krewnych i znajomych, a zaraz potem nastąpi wyjazd do Szwajcaryi i Włoch.

Po wyjściu narzeczonego, matka zaniepokojona, odezwała się do córki:

— Twojemu przyszłemu, jak widzę, nie łatwo dogodzić, uważałaś, jak despotycznie objawił swą wolę.

— Wybacz mu to mateczko — z figlarnym uśmieszkiem odparła młodziuchna narzeczona — wszak to jego ostatnia wola.

Na egzaminie z chemii.

Profesor. Niech mi pani wymieni ważniejsze związki!

Uczennica. Związki małżeńskie, panie profesorze.

SWATY.

— Radzę panu ożenić się z panną Janiną, jest to osoba pełna zalet.

— Ależ, kiedy ja jej wcale nie znam!

— A, jeżeli tak, to służę panu jej fotografią.

— Owszem... widzę oczy bardzo rozumne, ale cóż kiedy ona jest djabelnie stara!

— Niech pan temu nie wierzy, to nie ona, ale fotografia jest stara!

Sposób na ogrzanie.

— Brr... co za nieznośny chłód! Doprawdy nie wiem, czemby się ogrzać.

— Czekaj, za chwilę będzie ci całkiem ciepło...

— A to jakim sposobem?...

— Zbliża się twój wierzyciel...

NIEWZRUSZONY.

— Miłościwy panie... czemkolwiek poratuj!... Żona chora na suchoty, synek złamał nogę, sam jestem kaleką, a w domu ogień wszystko zniszczył!...

— Moi drodzy, po co mi to wszystko opowiadacie, czy to ja jestem pisarz dramatyczny?

Zaspokojona ciekawość.

— Czy prosiłeś twego ojca o pieniądze?

— A jakże, jeszcze przed tygodniem.

— No, i cóż stary?

— Wyobraź sobie, telegrafowałem wczoraj znowu: „Gdzie są pieniądze, o które prosiłem?“ a stary na to: „W mojej bocznej kieszeni.“

Po wyścigach.

— Co to jaśnie pan taki ksiwy?

— Bom na ostatnich wyścigach spadł z ogierka karego.

— Ja bym tam nigdy z tego ogierka nie zleciał!

— Albo to prawda!!

— Bo ja bym na niego nigdy nie siadł, przecie ja taki głupi nie jestem...

Oświadczyny dentysty.

— Oto przysięga moja uroczysta!
(Tak do narzeczonej mówił raz dentysta),
O Pani, gwiazdom podobna i kwiatom,
Gdyby za każdy mej miłości atom,
Która napełnia mego serca głębie...
Po jednym tylko miano rwać mi zębie:
Ja ci przysięgam, mój promieniu słońca,
Że nie starczyłoby mi szczęk tysiąca,
I zęby rwano by mi lat czterysta. —
(Tak do kochanki mówił raz dentysta).

Cztery zwrotki z życia ciotki.

Miałam dopiero szesnaście latek
Gdy mi się pierwszy zjawił gagatek,
Czuły, wysmukły, wzdychał i szlochał,
Filut, udawał — bo drugą kochał.
Więc i ja także nie w ciemię bita,
Dałam odkosza i była kwita.

Już po dwudziestce kiedy się drugi
Zjawił adonis na me usługi,
Miły, układny, nawet bogaty,
Lecz o me wiano pytał się taty.
Więc i ja także nie w ciemię bita,
Dałam odkosza i była kwita.

Gdy mi trzydziestkę liczono w domu
(Choć nie mówiłam tego nikomu)
Chłopców rój miałam, lecz każdy z cicha
Zamiast do serca, do worka wzdycha.
Więc i ja także nie w ciemię bita,
Dałam im kosza i była kwita.

Dziś lat nie liczę, a jeszcze wdzięki
Wciąż wabią chłopców — do mojej ręki,
Każdy podziwia: płeć, kibić, oczy,
Kształty, wdzięk, słodycz, układ warkoczy.
Oh! gdy się który o rękę spyta
Oddam mu zaraz i będzie kwita.

Krakowiak panieński.

Urzędnika nie chcę,
Bo cóż mi tam z tego?
Kochałby mnie, ale,
Tylko... na pierwszego!
Wioślarza ja nie chcę,
Choć to ładni chłopi,
Bo zaraz po ślubie,
Jeszcze się utopi...
Reportera nie chcę
Z tej prostej przyczyny,
Że niósłby do gazet
Domowe nowiny.
Nie chcę ja być żoną
Farmaka z apteki,
Bo w miejsce obiadów,
Dawałby mi... leki.
Cukiernika nie chcę
I innym nie życzę,
Boby wnet pozjadał
Najlepsze słodycze!
Na traktyjernika
Mam chęci najszczersze,
Cóż gdy zamiast sznycli
To on robi... wiersze...
Chociaż kolejarze
Mają ku mnie pociąg,
Cóż, kiedy z nich
Jest wielki... piwociąg!
Męża literata
Nigdybym nie chciała,
Bo coby napisał,
Chwalić bym musiała!
Na jednego tylko
Mam chęci ogniste,
Pójdę za mąż, ale
Za... kapitalistę!

Humorystka „Pracy“.

W SALONIE.

— Jakie instrumenty muzyczne pani najbardziej lubi?

— Wszystkie panie; oprócz cymbałów.

On. Zapewniam panią, że od pierwszej chwili naszego poznania, powiedziadziałem sobie: „Ta lub żadna“.

Ona (zimno). Jakto? więc pan zostanie starym kawalerem?

CO LEPSZE?

— Droga Anielciu! masz do wyboru dwóch konkurentów, obaj uczeni, pierwszy zapalony zbieracz numizmatów, drugi archeolog.

— Jeżeli już mam być żoną mamuta, to wolę pierwszego, boć lepsze stare pieniądze, niż stare skorupy.

Właściciel i wydawca M. Bidermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Chłomer w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ul. 38. Telefon Nr. 295.



Nim pierwsza krasa minie ranka,
Nim przyjdzie wiosny chwila krótka,
Dziś kwiaty, dziewczę, rwij do wianka
Ze skromnych cnót ogródka!

I w uczuć drogim majestacie,
Szczerego słuchaj serca bicia:
By nie był jutro kolcem dla cię
Mirtowy wieniec życia.

j.

(Drukarnia „Pracy“.)